ŚWIAT SZKOLNY



ŚWIAT SZKOLNY

Miesięcznik Młodzieży Szkół Średnich Częstochowy

Rok XI | Styczeń – Luty 1937 | Nr. 4 (63)



W dniu Imienin

P. PREZYDENTA IGNACEGO MOŚCICKIEGO

młodzież szkół częstochowskich łączy się z młodzieżą całej Rzeczypospolitej w hołdzie dla Głowy Państwa i Człowieka Nauki.

Bałtyku!

U wrót Ojczyzny naszej głębią rozległeś szumiącą
I wyciągnąłeś ramiona do Niej z miłością swoje ramiona,
By je z Nią związać ślubem dozgonnym, nierozłączonym,
By Jej dać w świat spojrzenie szerokie na Sławy słońce...
I ta, hen! dawno, przed wiekami ślubowana miłość
Do dziś trwa, choć ją zerwać zawistne moce chciały,
I trwać będzie... Bałtyku! Nadziejo nasza i chwało,
Idziemy do Ciebie z uczuciem, co żyje i żyło...

Krzepkością ramion swoich poniesiesz nasze okręty
I Wielkiej Polski Imię poniesiesz w dale bezkreśne —
Wieszczy sen o potędze w kształt żywy ucieleśnisz!...
Stajemy za Tobą wszyscy — my, Młoda Polska Pamiętaj!...
Dzisiaj, gdy o wielkości sen przestał już być legendą,
Kiedy w Twe piaski nadbrzeżne wrośliśmy duszą całą —
Śpiewamy Tobie, Bałtyku, pieśń nieustannej chwały
I pokolenia długie wieki śpiewać Ci ją będą...

T. K. G. P. H. S.

Moja tęsknota.

Dawno, już dawno temu byłam nad brzegiem Bałtyku. Oczarowało mnie morze i zadziwiło swoim urokiem. Siedziałam zdumiona i zadumana. Słońce, odbywszy swą codzienną wędrówkę po niebieskim sklepieniu skierowało się ku zachodowi. Przystanęło nisko na nieboskłonie, aby ostatni, szczero-złoty uśmiech posłać szmaragdowym wodom Bałtyku. Zaszemrało morze, pochyliły się głowy fal w niskim pokłonie. Jeszcze raz... ostatni raz zachybotał złoty promyk, poślizgnął się na pochyłości fali i zniknął w otchłani. Zmatowiało niebo i wody. Moja zaduma udzieliła się światu...

Ucichło wszystko, tylko szept jakby modłów popłynął w szarą dal... bezkresną. Powoli ukołysały się i szepty i zdawałoby się, że świat drzemie — lecz czuwał, bo od płaskiego brzegu szedł lekki, ledwie dostrzegalny podmuch ni to oddechu pól dalekich... ni westchnienia. — Otulona liliowym mrokiem czekałam księżyca, co ożywia lasy korowodami cieniów lękliwych i kładzie blaski migotliwe niby żywe srebro — co pieści promieniem puchy wiśniowego kwiecia i wygrywa na strunach pajęczyn przedziwne pieśni nocy księżycowych... urokliwych nocy.

I w końcu przyszedł... — Wstępując na granatem wysłane niebo z orszakiem miliona gwiazd, spowijał srebrem zielone czuby sosen i maszty okrętów w przystani. W blasku jego ożył las nadbrzeżny i drzewa rozpoczęły swe baje. Słuchały pilnie tych rozmów rozdygotane trawy — i ja słuchałam, a drzewa opowiadały o tytanicznych wysiłkach żeglarzy-rybaków, o ich wiecznej walce i wiecznej klęsce. Morze nuciło do wtóru pieśń o szale burz i dzikiej gonitwie wichrów, o otchłaniach wód, gdzie straszna czai się śmierć i najcichszy leży grób. Pod wpływem tej monotonnej sinej dali i szumu drzew zbudziła się w sercu moim tęsknota. Tam w dali coś mię wołało... Chciałam iść w tę jasną noc... lecz gdzie... i po co?...

Ogarnęłam wzrokiem piaszczysty brzeg objęty ramionami Bałtyku i zrozumiałam, że tęsknota ta pójdzie za mną wszędzie, aby przypominać o ukochaniu tego jałowego brzegu, o morzu, które pieści go białymi grzywami fal.

Zrozumiałam też wtedy tego rycerza-Polaka, który całym gorącym sercem ukochał to morze, tęsknił do jego szeptu, do widoku szalonego tańca fal pod czarną kopułą chmur gromowładnych i nie spoczął, póki nie zaślubił go. Zapadł złoty pierścień ślubny na dno serca, w głąb, — drgnęła żywiej wieczne pulsująca powierzchnia i teraz szumi nam i śpiewa Polskie Morze!

— — — — — — — — — — — — —

Od tego wieczoru przez długi czas chodziłam na brzeg, aby słuchać wieczornej pieśni morza o szarej godzinie zmroku, przyglądałam się gwiazdom, które odbijały się w toni — chodziłam i wtedy, gdy na wschodzie paliły się zorze poranne i budził się świat. Morze było jasne i czyste, widziałam w nim meduz przezroczyste welony, wyczuwałam równy, miarowy oddech wód. To mnie upajało.

A teraz tęsknię i czekam, aby móc tam powrócić i marzyć i śnić wraz z morzem.

Dzida.

74-a rocznica powstania styczniowego

W dniu 22 ubiegłego miesiąca minęło 74 lat od chwili, gdy naród polski znowu chwycił za broń, by wywalczyć sobie niepodległe państwo. Rocznica ta minęła u nas bez żadnych obchodów i uroczystości, lecz w sercu każdego Polaka odezwała się echem wspomnień o tych bohaterach, którzy złożyli Ojczyźnie zaszczytną daninę krwi.

Sam moment wybuchu powstania był ze wszechmiar niekorzystny. Przy tym powstanie styczniowe wiązało się pośrednio z różnymi wydarzeniami w Europie. Można było odnieść wrażenie, że wszystkie te wydarzenia spowodowała jakaś niewidzialna ręka, która mocno musiała dzierżyć ster ówczesnej polityki europejskiej. Dość na tym, że chwila wybuchu powstania była bardzo nie na czasie, co mocno zaważyło na szali jego niepowodzeń. Manifest wystosowany do narodu przez Komitet Centralny nie spotkał się w społeczeństwie z żadnym oddźwiękiem. Mimo tego kilku przywódców zdecydowanych na wszystko podjęło walkę z wrogiem. Z początku odnosili powstańcy dość duże sukcesy, gdyż Rosjanie przerażeni niespodziewanym wybuchem ściągali wojska do większych miast, pozwalając tym sposobem na zajmowanie przez powstańców większych terytoriów. Gdy jednak ponownie do starć przychodziło, zwyciężali Moskale dzięki przewadze liczebnej i lepszemu uzbrojeniu. — Pierwszym ciosem dla powstańców było rozbicie oddziałów Mierosławskiego, który jako dyktator walczył na Kujawach. Po wyjeździe rannego Mierosławskiego ogłosił się dyktatorem Marian Langiewicz, który po kilku potyczkach został aresztowany w Tarnowie i internowany przez rząd austriacki. Tymczasem powstanie rozszerzało się coraz bardziej i wkrótce objęło Litwę, Ruś i częściowo Wołyń. Opróżnione stanowisko dyktatora objął Romuald Traugutt, przywódca ruchu powstańczego w powiecie pińskim. Traugutt — to jedna z najbardziej świetlanych postaci w naszej historii. Nadzwyczajna szlachetność łączyła się w Nim z wybitnymi zdolnościami organizatorskimi i z dużą znajomością sztuki wojennej. W powstaniu dążył On do przekształcenia walki partyzanckiej w regularną wojnę. Dlatego zaczął gromadzić wokół siebie większe oddziały powstańcze i rozkazał realizować postanowienia Komitetu Centralnego tyczące się uwłaszczenia chłopów. Tymczasem Rosjanie coraz węższym pierścieniem otaczali lwią część powstańców pod dowództwem Traugutta. Przyszło do bitwy, w której powstańcy ponieśli klęskę. Wysiłki Traugutta były daremne. Długotrwała walka wyniszczyła kraj, a niemoc społeczeństwa i zadziwiająca obojętność zagranicy, której Polska, zda się, nie była już potrzebna, przyczyniły się do upadku powstania. — W kwietniu aresztowano Traugutta, który w dniu 5-go sierpnia 1864 r. wraz z 4-ma towarzyszami: Jeziorańskim, Krajewskim, Toczyskim i Żulińskim, zawisł na szubienicy na stokach cytadeli warszawskiej.

Nic dziwnego, że naród, przygnębiony tyloma niepowodzeniami, popadł w apatię, z której miał ocknąć się dopiero w wiele lat po tym.

S. R. G. P. R. T.

„Afrykańska wyprawa polska Rogozińskiego“.

Dnia 13-go grudnia 1882 roku wyruszyła „afrykańska wyprawa polska“ do Kamerunu na „Łucji-Małgorzacie“, 20-sto metrowym masztowcu. Na pokładzie znajdowali się oprócz załogi trzej dowódcy wyprawy: Stefan Rogoziński, jako naczelnik ekspedycji i kapitan okrętu, Leopold Janikowski, etnograf „poważny i sentymentalny“, oraz inżynier Klemens Tomczak, kolega szkolny Rogozińskiego. Pięciu ich wyruszyło, tyluż dojechało do brzegów kameruńskich, ale tych trzech tylko wytrwało i wzięło udział w badaniach. Trzech bezinteresownych idealistów puściło się ku tropikalnym krajom, by zbadać je i stworzyć podwaliny pod niezawisłą kolonię polską. Jedna ich ożywiała myśl, jedno dążenie: mimo trudności, które się przed nimi piętrzyły, wytrwać, drogą prawą wywalczyć sławę dla Polski i wynieść dla niej realną korzyść.

Stefan Scholtz-Rogoziński (Scholtz, nazwisko ojca — Niemca, Rogoziński z matki), syn bogatego przemysłowca z Kalisza, już od młodości zdradzał zamiłowanie do podróży, zwiedzając jako uczeń gimnazjalny środkową Europę. Skończywszy szkołę dostał się dzięki swojej stałości, mimo oporu ojca, do marynarki w Petersburgu. Stefan, młodzieniec nadzwyczajnie zdolny i energiczny, przeszedł trzechletni kurs w ciągu półtora roku i zdał egzamin na oficera marynarki wojennej, jako najmłodszy z absolwentów. Wędrówki po bezmiarach oceanu i podróż naokoło świata podnieciły jego eksploratorską gorączkę, a podróż koło brzegów Afryki natchnęła go gorącym pragnieniem zbadania tych dziewiczych obszarów, które drzemią w cieniu gór Kameruńskich. Chodziło więc temu zapalonemu, dwudziestoletniemu młodzieńcowi o odkrycie tych

szmatów ziemi afrykańskiej pod polską kolonię. Wyprawa naukowa polska do Afryki, rzecz zaprawdę niesłychana wobec stosunków, jakie panowały wśród apatycznego narodu polskiego, pozostającego w niewoli. A jednak mimo przeszkód moralnych i materialnych dokonali tego ludzie, przejęci duchem patriotyzmu, opierając wyprawę o własne fundusze, a szczególnie kierownika ekspedycji, Rogozińskiego.

Pogoda trwała niedługo, wnet zerwała się burza i statek przez trzy dni miotany wiatrami musiał się schronić do portu Palmouth, skąd wypłynął 26 grudnia na ocean. Nie dane im było spokojnie jechać do celu podróży: coraz gwałtowniejsze burze uniemożliwiały drogę — bukszpryt złamał się, chronometry stanęły i dopiero w 35 dni po opuszczeniu Hawru, zawinęli rozbitkowie do portu Funchal na Maderze, serdecznie witani przez podróżnika hr. Tyszkiewicza, który osiadł tu wraz ze swą rodziną. Stąd po wielu jeszcze postojach, rzucani przez liczne burze, zarzucili kotwicę dnia 6-go kwietnia 1883 r. u wyspy Fernando-Po, leżącej naprzeciwko wybrzeży Kamerunu. Po wielu niebezpieczeństwach, gdy ocean o mało nie pochłonął zuchwałej garstki, stanęli w punkcie swych operacyj eksploracyjnych. Jasno zdawali sobie sprawę, że powinni być gotowi na wszystko. Wiedzieli, że o kilka kilometrów od brzegu oceanu zdani będą na łaskę i niełaskę tysięcy, tysięcy dzikich.

Na wyspie Mandoleh zakupiwszy u miejscowego kacyka teren, zbudowali stację morską, która zarazem była schroniskiem i magazynem ekspedycji. Trzy z górą lata zeszły na badaniu wnętrza Kamerunu, badaniu gór Kameruńskich i zdobywaniu szczytu ich Mongo-ma-Lobah, górą Kraszewskiego nazwanego, skrzętnym kolekcjonowaniu i porządkowaniu przez Janikowskiego zbiorów fauny, floty i etnografii murzyńskiej. Ekspedycja sporządziła mapę tych krain, zbadała kraje Bakunda, których nie tknęła stopa Europejszyka, odkryła Jezioro Słoniowe i źródła Rio-del-Rey, badane bezskutecznie dotychczas, poznała język i obyczaje ludów.

Pewnego dnia wyruszył Tomczak z krajowcami, gdyż Rogoziński był chory, a Janikowski zajęty badaniami, na poszukiwanie Jeziora Słoniowego, którego napróżno dotąd szukano. Po długiej podróży Tomczak zmęczony rzucił się na ławkę bambusową w swojej kwaterze, aby nieco wytchnąć. Lecz nagle powstał wśród krajowców niezwykły ruch i krzyk: „mio — mio“ (wąż — wąż). Inżynier zerwał się gwałtownie i odskoczył na bok, na pręcie palmowego dachu wisiał jeden z najjadowitszych węży tutejszych, 4 stopy długi, z paszczą zwróconą ponad ławkę, na której spoczywał młody podróżnik. Po kilku uderzeniach kijem wąż spadł na ziemię, wijąc się konwulsyjnie. W nocy nie mógł Tomczak spać, krajowcy bowiem tańczyli i śpiewali aż do świtu. Cały dzień posuwano się naprzód podczas silnej ulewy podzwrotnikowej. Następnego dnia opuszczono Boę. Tomczak opuszczał ją w gorączce i z bólem głowy, spowodowanym zmęczeniem, zimnem ulewy i żarem tropikalnego słońca. Z niezachwianym zamiarem osiągnięcia celu podróży wyruszył niepewnym krokiem w 12-to milową podróż. Z trudem stąpał po oślizgłych, stromych pagórkach, piętrzących się przed wyprawą. Wreszcie z radością, upadając już ze zmęczenia, usłysz z oddali szum rzeki, która w kaskadach spadała ze skały na skałę; w końcu ujrzał w dali jaśniejącą jej smugę. Z prawej strony rozciągała się obszerna płaszczyzna wody długo szukanego jeziora. Zapomniawszy o zmęczeniu i gorączce, pośpieszył nad jego brzeg napawając oczy czarującym widokiem jak lustro gładkiej powierzchni.

Ruszyli w powrotną drogę. Czarni mieszkańcy pierzchali na widok białego człowieka nie dowierzając dziwnej istocie. Tomczak chciał ich ośmielić, ale, gdy podszedł do jednego z nich z zamiarem podania mu ręki, krajowiec-olbrzym nie zrozumiawszy jego gestu, drapnął ile sił w piętach, a za nim reszta. Z królem jednak zaprzyjaźnił się, powiększając radość jego podarunkami w postaci drobnostek, na widok których świeciły się oczy starca. — Przed pożegnaniem strzelił na ogólną prośbę trzykrotnie z rewolweru. Wrażenie było piorunujące. Dziecinni krajowcy potracili głowy. Po dość długiej chwili dopiero poczęli skakać i śpiewać, opowiadając jeden drugiemu, jak „mulkara“ (biały człowiek) złamał broń, złożył ją i strzelił.

Czyniono jeszcze wiele wycieczek z Rogozińskim. Gdy ten bawił w sprawach ekspedycji poza stacją. Tomczak zapadł na malarię. Chory był nieprzytomny cały tydzień, chwilami odzyskiwał świadomość, a wtedy wierny towarzysz Janikowski łudził się nadzieją. Chwila śmierci nadeszła. Zasnął spokojnie, trzymając przyjaciela za rękę i słuchając odmawianej modlitwy... Między dwiema palmami wykuł mu Janikowski mogiłę w afrykańskiej skale, z palmy krzyż wyciosawszy, złożył go na wieczny spoczynek. Tysiące mil od Ojczyzny padł na posterunku Polak-eksplorator. Niebawem wrócił Rogoziński. Rozpacz jego była bezgraniczna. Stracił najwierniejszego druha z ławy szkolnej, druha, „w którego piersi tlił ogień, ożywiający członków wyprawy“ — jak sam Rogoziński pisze.

Cichą pracę badawczą naszych podróżników przerwały, niestety, zachcianki zaborcze Rzeszy Niemieckiej. Niemcy uwagę swą skierowali na Kamerun. Ekspedycja więc polska została wciągnięta w wir wypadków politycznych, natknąwszy się na zapędy Niemców,

szukali oni wówczas po całym świecie terenów kolonialnych. Okupując rzekę Kameruńską, Niemcy poczęli posuwać się ku bogatym skłonom gór stanowiących najbogatszy teren Kamerunu. Polacy krzyżowali ich posunięcia, zdołali bowiem tak sobie zaskarbić zaufanie tuziemców, że kacykowie coraz częściej zjawiali się w Mandoleh z prośbami o rozstrzyganie sporów między nimi, wreszcie główny kacyk z Boty, a za nim pomniejsi złożyli rządy nad swoimi klanami w ręce Polaków. Rogoziński nabył wówczas na własność owe kło-ce czółno, a gdy nic nie pomagało, wtedy otworzono ogień z korwety. Krajowcy, ratując się z tego ukropu, skoczyli do wody, a zdumionego Janikowskiego, który mniemał, że to ćwiczenia, w niefortunnym obrane kierunku, otoczyły trzy łodzie; dowodzący oficer uwięził go, ciągle sądząc, że to Rogoziński. Tylko ostrej postawie komendanta okrętu wojennego angielskiego zawdzięczał Janikowski wolność. — Niestety, Anglia zajęta we Wschodniej Afryce nie mogła należytej siły przeciwstawić dążeniom niemieckim i ustąpiła z terenu ich po-



ny. Ostatecznie jednak wraz z Janikowskim, wobec bezwzględnego parcia Niemców na zachód postanowili oddać kraj pod protektorat Wielkiej Brytanii.

Dnia 28-go sierpnia 1884 roku został podpisany traktat między Rogozińskim a rządem W. Brytanii, na mocy którego kraje te wszystkie, gdyż za zachętą Rogozińskiego i Janikowskiego wszyscy kacykowie oddali swe klony, przechodząc pod opiekę Anglii. Tymczasem rezultaty osiąginęte przez Polaków rozgniewały władze niemieckie do tego stopnai, że komendant korwety „Bismarck" wydał oficjalne oświadczenie, iż Rogoziński zostanie na terytorium niemieckim bezzwłocznie aresztowany.

Janikowski powracał raz czółnem krajowym do Mandoleh, gdy puściły się za nim trzy szalupy od niemieckiej korwety, napełnione wojskiem i każda uzbrojona w jedną armatę. Szalupy rozpoczęły ogień na spokojnie płyną-żądań. Kamerun na kilkadziesiąt lat dostał się pod panowanie Niemców.

Ekspedycja Rogozińskiego była jedyną polską wyprawą, którą wiodła myśl państwowa polska. Gdy naród pozostawał bez własnego rządu, bez własnego państwa, wyruszył Rogoziński, mimo tych braków kardynalnych, na podbój nowych terenów. Wyprawa ta ma może większe znaczenie moralne, wykazała bowiem, że nie wszystkie charaktery zostały zabite długoletnią niewolą, wykazała, że zginęło państwo, lecz nie naród. Ideowa zaś strona uczy nas, iż idąc śladami tych dzielnych eksploratorów, jako obywatele wolnej Polski, powinniśmy starać się o kolonie, które stanowią palącą kwestię u wszystkich narodów, a szczególnie wśród państw na ciasnym już kontynencie „Starego Świata".

M. Jarca. G. P. R. T.

Czy wszyscy się zgadzamy?

Jeszcze o „Patriotyźmie" i „Imperialiźmie" uwag kilka.

W Nr. 2 „Świata Szkolnego" w dziale „Czy wszyscy się zgadzamy?" ukazał się artykuł kol. K. p. t. „Patriotyzm", na który dość silnie zareagowała w swej odpowiedzi w numerze następnym kol. W. O. Odpowiedź swą rozpoczyna autorka od oświadczenia, iż nie wierzy, „aby wielu było podobnie myślących i zgadzających się z założeniem i rozwinięciem pojęcia patriotyzmu kol. Kulisiewicza". Trudno — nikt przecież nie może nikogo zmusić, by ten wierzył w to, co drugi powie, względnie napisze. Z drugiej jednak strony nie należy zbyt wielkiej żywić nadziei, iż to, co się samemu napisze, znajdzie wiarę u innych...

Jeżeli więc chodzi o poglądy autorki odpowiedzi na istotę patriotyzmu, wyrażone w początku artykułu, to bezwątpienia wielu się z nimi zgodzi — inaczej rzecz będzie się miała ze stroną praktyczną, jaką autorka tu i ówdzie wysuwa; na tym właśnie miejscu spotkać może kol. dość duże rozczarowanie, gdyż wyznawców teorii przez nią głoszonych policzyć będzie można na palcach (jeżeli w ogóle tacy będą).

Na marginesie muszę się zastrzec, iż, broń Boże, nie występuję w obronie zaatakowanego kolegi, ani też nie podzielam jego poglądów. Zdziwiony jestem tylko dość, powiedziałbym, śmiałymi twierdzeniami, zawartymi w odpowiedzi...

Bo, że „tylko te narody mają prawo do życia, do rozwoju, do samodzielności, które mają warunki bytu", że „kochać ojczyznę można" tylko „wtedy, gdy ona istnieje" — to zdaje mi się, są twierdzenia dość fantastyczne. W tym miejscu autorka trochę przeholowała, podobnie jak i tam, gdzie głosi, iż „podboje i zdbyocze Chrobrych, Jagiellonów, Batorych i żółkiewskich" wypłynęły li tylko skutkiem naszej agresywności.

Tu właśnie wyszło szydło z worka — zaatakowanemu zarzuca się tendencyjność, a samej się w nią wpada. Zdaje mi się przecież, iż autorka wie, że z owymi podbojami było trochę inaczej.

O agresywności naszej nic w historii nie słychać — liczne są natomaist przykłady reakcji naszej na agresywność sąsiadów.

I jeszcze jedna sprawa, o której koleżanka zbyt pochopnie swój sąd wydała. Jest to sprawa kolonii.

Że terenów kolonialnych nie będziemy szukać na księżycu, w to nikt nie wątpi, lecz przekonanie, iż zdobycie realne takich terenów skończy się wynaradawianiem tubylców, nie wydaje mi się dość oczywiste, a w pewnej nawet mierze jest ono niebezpieczne.

Psychice narodu polskiego jest **obcy** i wstrętny wszelki przymus i gwałt.

Jeżeli chcemy kolonii, to nie chodzi nam o pomnożenie ludności, której mamy pod dostatkiem i o której żywotność nie ma obawy, lecz chcemy przede wszystkim podnieść nasz kraj materialnie, chcemy zatrudnić pracą wszystkich Polaków.

Naród nasz nigdy nie pragnął i nie będzie pragnął sztucznych obywateli. O tym jednak autorka odpowiedzi zopomina, stając się może mimowoli sprzymierzeńcem autora „Imperializmu polskiego", który pozwolił sobie na interpretację faktów historycznych, jakby te były jakimś utworem literackim.

Przyznam się szczerze, iż wątpię, by ktokolwiek w unii horodelskiej mógł się dopatrzyć tego typu imperializmu ze strony Polski, a jakim mówi autor, trudno też zgadnąć, o jakich imperialistach myśli on, wymieniając nazwiska Koniecpolskiego i Zasławskiego (może Dominika?).

Niestety, pomimo, iż autor zastrzega się przed fantazją, to jednak widma jej nie może się pozbyć w swej pracy, jak nie mogła się uchronić kol. W. O. od cienia tendencji.

Bo, jeżeli się chce coś komuś udowodnić, względnie narzucić, jak się to ma z autorką i autorem, to nie można w tym celu posługiwać się dowolnym tłumaczeniem faktów historycznych, ani sugerowaniem swych poglądów innym.

Tego czynić nie wolno.

Jerzy Jasiński. Gimn. Społeczne.

W sprawie artykułu kol. K. p. t. „Patriotyzm".

W artykule kolegi Kulisiewicza p. t. „Patriotyzm", zamieszczonym w numerze 2 (61) „Świata Szkolnego" pojawiło się tyle „rewelacyjnych" enuncjacji na temat „dobrze pojętego" patriotyzmu, że nie sposób pominąć je milczeniem. Na część tych „rewelacji" odpowiedziała już koleżanka W. O. (G. P. J. S.) w 3 numerze „Świata", wykazując bezsensowność niektórych tez kol. K., lub dając do nich odpowiednie komentarze. I tak, naprzykład, świetnym komentarzem obdarzyła kol. W. O. powiedzenie kol. K., że „swoje kochać — cudze szanować należy". Komentarz brzmi następująco: „Kochać coś można wtedy, gdy to

coś istnieje, — szanować cudze — jeżeli godne jest szacunku".

Mam nadzieję, że na moim artykule nie skończy się jeszcze dyskusja, dlatego też cały szereg spraw, wymagających innego naświetlenia, znajdzie się niewątpliwie w następnych numerach odpowiednich interpretatorów. — Mnie chodzi o to, że kolega K. zdaje się źle rozumieć prawdziwy patriotyzm.

Kolega rozumie go tak, jak rozumiałby go Polak z okresu powstania styczniowego, który marzył kiedyś o ofierze życia dla Polski, lecz potem, na widok potężnych nieprzyjaciół stracił wszelką nadzieję w zwycięstwo nad nimi i zaczyna myśleć o pracy organicznej.

Kol. K. pisze: „Kochać ojczyznę naprawdę — to znaczy czuć w sobie gotowość w każdej chwili oddania jej wszystkiego, nawet życia..." albo: „Miłość Ojczyzny, poświęcenie dla Niej wszystkiego, co nasze, wszczepia się w dusze młodych..." By miłować ojczyznę, czyż tylko ulegać, tylko poświęcać „wszystko, co nasze", tylko cierpieć, tylko umierać i umierać musimy? Czyż tylko na tym cierpiętnictwie miłość Ojczyzny polega? Zamiast stracić, czyż nie lepiej jest dla Ojczyzny coś zdobyć?

Z ogromną czcią odnoszę się zawsze do tych Polaków, którzy ponieśli męczeństwo za Wolność, ale uważam, że dziś warunki zmieniły się zasadniczo i że nowoczesny Polak powinien upatrywać szczyt patriotyzmu raczej w zwycięstwie wiedeńskim, niż klęsce legnickiej, raczej w Chocimie, niż w Cecorze, raczej w Grunwaldzie...

Według kolegi, patriotyzm w dzisiejszych czasach — to kochanie Ojczyzny codzienną, nieustanną pracą: „Każdy trud, choćby najmniejszy, w jakiejkolwiek okoliczności i gdziekolwiek — czy na ławie szkolnej, czy w biurze, czy w mrocznych głębiach fabryk i kopalń — niech będzie podejmowany z myślą o Jej dobru, dla Niej". Jak na patriotyzm — to jest za mało, proszę kolegi. Zresztą, jeśli chodzi o Polskę, setki tysięcy jej synów są wogóle bez pracy, są w nędzy, co więcej milion (o ile mnie pamięć nie zawodzi) dzieci nie ma szkół. Patriotyzm wymaga dzisiaj idealizmu i wypływających z niego czynów wielkich, wymaga wielkiej solidarności i karności narodowej. Wymaga też zajęcia wyraźnego i bezkompromisowego stanowiska wobec ukrytych i jawnych wrogów Państwa i Narodu Polskiego. — Wzdychanie po skończonych lekcjach w szkole, czy po urzędowaniu w biurze, nie wystarczy!

Kolego K., dziwnym zbiegiem okoliczności został umieszczony zaraz za Waszym artykułem o patriotyźmie artykuł kolegi A. J. (G. P. R. T.) o imperialiźmie polskim, w którym zwróciło moją uwagę takie zdanie: „Znalazłoby się jeszcze sporo ludzi (chodzi tu niewątpliwie o Polaków), którzy zgodziliby się raczej na ponowną niewolę, niż na zagarnięcie Prus Wschodnich".

Otóż wyrażam przypuszczenie, że kol. A. J. zaliczyłby Was, kol. K., do kategorii tych właśnie ludzi.

M. M. G. P. R. T.

Odpowiedź na uwagi o „Ludziach bezdomnych".

Gdy przeczytałem uwagi kol. Wicza o „Ludziach bezdomnych", w których autor z furią atakuje dr. Judyma i nazywa go „maniakiem", mało, nawet „wariatem" (tak!) —. uśmiechnąłem się, bo przypomniał mi się modny w „Świecie Szkolnym" Don Kichot w walce z wiatrakami.

Bo cóż autor tych uwag pisze: „Cel, do którego Judym dąży, jest utopią". Proszę! nie spodziewałem się — a dalej: „Bo czyż można przypuszczać, aby jeden człowiek mógł uszczęśliwić cały świat?" I tu właśnie niezrozumienie celu i dążności dr. Judyma. Kol. Wicz powiada, że dr. Judym chce uszczęśliwić cały świat, (ba!) nawet zbawić. Frazeologia kolego! Bo gdzie i kiedy mówi o tym dr. Judym? On nie jest frazesowiczem, żeby się bawił pięknym słówkiem — tak, jak wy!

Dr. Judym mówi o swym celu — który kol. Wicz nazywa utopią — bardzo wyraźnie i stara się go osiągnąć — nawet *realizuje — wciela w czyn* (słyszycie! kol. Wicz — a czy można wcielać w czyn *utopię?*) Gdzież więc ten utopijny cel, czy może to, że dr. Judym — jako wzór lekarza społecznika chce być apostołem higieny wśród warstw najuboższych i najbardziej jej potrzebujących. To ma być utopią? A przecież założenie szpitala dla chorych dzieci chłopskich w Cisach, to fakt — bynajmniej nie świadczący o utopii celu. I nie jest „maniakiem", ani „wariatem" dr. Judym — ale spełnia swój obowiązek — jako lekarz społecznik, obywatel i *człowiek*, który żyje i pracuje nie tylko dla siebie, ale dla dobra bliźnich swoich — *ludzi*. Zresztą poco dużo pisać, najlepiej byłoby, gdyby kol. przeczytał książkę jeszcze raz — potem *zastanowił się* nad tym, co napisał.

Nawiązuję jeszcze jednak do środków lub „dróg" (jak kol. Wicz je nazywa), „którymi kroczy dr. Judym" i za które kol. nazywa go wariatem. Otóż dr. Judym głosząc hasła apostolstwa lekarza społecznika — nie tylko walczy z otoczeniem lecz z światem zewnętrznym i osobistymi swymi wrogami lekarzami, traktującymi swój zawód jak handel lub giełdę, na których chcą wygrać własną fortunę, — ale walczy wewnętrznie z samym sobą, z osobistymi dążeniami przyrodzonymi, jak chęć

założenia własnego „gniazda“. Jest to postać tragiczna, bo walcząc z rzeczywistością równocześnie walczy z pragnieniem szczęścia osobistego, uosobionego w Joasi. Rzeczywistość go kruszy — charakter jego, niezrównoważony i pełen rozdźwięków targa nim do reszty. Walcząc z szczęściem osobistym, dr. Judym rozwiązuje kwestię o znaczeniu ogólno-ludzkim — kwestię bezdomności w życiu lekarza społecznika. Zawód swój uważa dr. Judym za równy zawodowi kapłańskiemu. Właśnie dlatego odpycha z brutalną siłą Joasię; wiedział, że szczęście osobiste i stworzenie „gniazda“ działałoby paraliżująco na rozwój jego uczuć i idei altruistycznych. On by tych przeciwnych uczuć pogodzić nie umiał — postanawia wyrzec się jednego — zrywa z Joasią. Nie wyrzeka się on swej idei szczytnego apostolstwa — tak jak wyrzekli się inni początkujący lekarze społecznicy, którzy nie mogli oprzeć się pragnieniom osobistego szczęścia i przestali być apostołami i kapłanami swych idei. A teraz reformatorów, jakimi sami niegdyś byli, uważają za osobistych wrogów, bo przypominają im grzechy odszczepieństwa od własnych zasad, ideologii i zapałów młodzieńczych. Co do dr. Judyma — to niewiadomo, czy wytrwa on na swojej drodze, na którą wkroczył. Charakter jego niestały i gorączkowy — raczej pozwoli nam domyślać się (ale są to tylko domysły!), że nie wytrzyma i kiedy zabraknie mu sił do walki — strzeli sobie w „łeb“, podobnie, jak to uczynił Korzecki.

Jest to postać tragiczna, pełna liryzmu, którego nie skąpi mu autor, aby lepiej uwydatnić i podkreślić jej tragizm. Dziwi mnie, że kol. Wicz tego właśnie nie spostrzegł. Powieść sama zresztą wydaje mi się tragedią (w sensie przenośnym) *tragedią litości*. Ale co do Was, kol. Wicz, to praca Wasza wymaga i litości i pobłażania.

Ar. — Ot. G. P. R. T.

Mickiewicz a my.

Wiek dwudziesty i przełom wieków osiemnastego i dziewiętnastego. Wiek dwudziesty i wiek bojów płomiennych rozmantyzmu w świat wstępującego, świat zdobywającego.

Młodzi nowej epoki i Mickiewicz — człowiek tamtego czasu. Dzieli nas przestrzeń stu lat, przestrzeń ogromna. Walki o prawa do życia narodów, zwycięstwa i klęski, szczytne idealizmy i materializmy trzeźwe, podłe a skuteczne, Wielka Wojna wreszcie, która zamknęła podobno tamtą epokę i nową otwarła.

My żyjemy w tej — nowej.

Odmiennej i nowej.

Mówią niektórzy, że nie wiele wspólnego mamy z czasem przedwojennym, z jego pragnieniami, wzlotami i upadkami, mówią niektórzy, że z innej planety patrzymy na stulecie ubiegłe, i powiadają wreszcie, że po nowe słońca idziemy, patrząc przed siebie. To, co nie przed nami, za nami jest. Patrzymy wprzód i tylko wprzód, czyż nie słabością byłoby w tył okiem rzucać?

I tu natykamy się na zagadnienie ciekawe i pierwszorzędnej wagi.

Konstatujemy wszyscy odmienność naszej epoki, konstatujemy wszyscy jakąś niepokojącą inność nas samych, od młodszych epok przeszłych, nawet od młodzieży schyłku wieku dziewiętnastego, a im głębiej w przeszłość — tym więcej powiększa się różnica, wszyscy ją odczuwamy, należałoby jednak zapytać, czy rzeczywiście oderwaliśmy się tak całkowicie od przeszłości, czy naprawdę na przeszłość ową z innej planety patrzymy, czy zagubione zostały słowa wspólne pomiędzy „Nimi“ a nami.

Rozstrzygnąć ten problem.

Nie. Naświetlić go, choć w części może.

A posłuży do tego rozwiązanie sprawy stosunku naszego do Mickiewicza.

Jako źródło światła, gwiazda pierwszej wielkości znaczy się Mickiewicz w epoce swojej. Pierwszy polski poeta romantyczny — określają. I jako taki dał wyraz prosty a nieomylny tym dążeniom, prądom i nurtom, jakie nieświadomie naród cały w sercach nosił.

Nasz stosunek do Mickiewicza, to stosunek do wieku dziewiętnastego (powie ktoś ,że zbrodnią jest zamykać geniusza w obrębie epoki, w której tworzył — sprawa do rozpatrzenia) i odwrotnie.

Wynik owego stosunku da nam pojęcie, (w części co prawda) rozwiązanie kwestii pierwotnej.

— — — — — — — — — — — — — —

Ażeby dobrze zrozumieć różnicę pomiędzy tym, co żyje w chwili obecnej i czasami Filomatów i Filaretów, przypomnieć, rzucić przed oczy należy zarysy choćby tych chwil.

Nadchodzi rok tysiąc osiemset dwunasty.

Pamiętna wiosna roku tego. Nadzieją brzemienna, w zdarzenia niezwykłe obfita. Wiosna nadziei.

Od jednego końca Europy w drugi przebiega w wojny chwale cesarz Francuzów, wolność jednym, kajdany drugim na bagnetach swych żołnierzy niosąc. Dla uciśnionych chwile wzruszeń radosnych, oczekiwania. Chwile jedyne.

Oczekuje i Polska. Niepokój zwraca oczy na Zachód, gdzie syny najlepsze walczą od lat. Nadchodzą momenty ostatnie. Na północ ciągnie armia. Do ostatnich granic naprężają się nerwy w oczekiwaniu, w niepokoju radosnym.

Powoli jutrznia wschodzi. Czy wzejdzie?

W takiej oto atmosferze otwierają się oczy,

chłoną w siebie zachłannie wszystko. Rośnie nowy człowiek.

Słońce nie zabłysło jednak. Czyż należy przeto ręce opuścić i z losem się pogodzić? O, nie! Cel wielki i święty pozostał, cóż życie wobec niego, cóż wszytsko inne wobec niego znaczy!

Rok tysiąc osiemset dwudziesty drugi.

Rozgorzała walka zapamiętała o ideały romantyzmu. Wyzwolić serca, wiarę, czucie z pod spłowiałych szmat pseudoklasycyzmu. Nowe oblicze dać literaturze, poezji! Świat potęgą ducha i wiarą zdobędziesz, nie szkłem i rozumem.

I gdybyśmy przejrzeli tak lata następne, często powtarzałyby się te słowa — walka, zwycięstwo i... aż do wyniku ostatecznego.

W takiej to epoce tworzył się człowiek Mickiewicz; geniusz rodził się w pracy wytrwałej i bezprzestannej, duch w walce równie gorącej o ideały wolności i sztuki. A były to ideały. ponad wszystkim, lot najwyższy bez wypadków, z natężeniem sił wszystkich.

„Im wyżej, tym usilniej wytężajcie pióra,
Ażby sławy podniebne dosiągłszy epoki
Innych tam braterskimi zachęcali kroki
Wszyscy chciejmy dokonać, dokona kto może!“

— — — — — — — — — — — — — —

Tak przedstawia się romantyzm. Skrzydła biją pod niebo w uniesieniu. W górę! W górę!

A ziemia?

„Patrz na dół! Kędy wieczna mgła zacienia
Obszar, gnuśności zalany odmętem —
To ziemia!“

Tak. To ziemia. Ale na wykrzyknik taki pozwolić może sobie ten, kto w górnych rejonach bywa, kto zaś zmuszony jest do przebywania na niej, ratować własną szyję musi, musi dbać o własny, nie o czyj inny żołądek.

Szczytne ideały cnoty, przyjaźni, miłości etc. czyż nie przetarły się trochę w zbyt częstym używaniu będąc?

Dziesięcioletni ,dwunastoletni ,osiemnastoletni chłopak patrzy w życie. Szeroko rozwarte oczy widzą wszystko. Ale gdzież przyjaźń, miłość, cnota?

Gorzka to jest nauka, jak piołun gorzka.

— — — — — — — — — — — — — —

Stosunek nasz do Mickiewicza nie jest taki, jaki być powinien. (Mówię „nasz“ mając na myśli ową masę, która zgubiła wspólny język z wieszczem, nie zaś tych nielicznych, którzy twórcę „Pana Tadeusza“ rozumują). — W życiu pomijamy go jakoś dziwnie. Szukamy nowych dróg, nowych idei, haseł nowych. Wokoło pustka przeraźliwa. Nigdzie nie promyka nadziei, przeciwnie, horyzont zasłany czarnymi chmurami. Oczekujemy na Człowieka, który porwałby nas siłą swą, mocą naprzód.

Nie oglądamy się w tył.

Oddajemy Mickiewiczowi cześć, jako mistrzowi słowa, narodowemu wieszczowi, ale... nie porywa nas „Oda“.

Czyżby odmienna psychika?

Czyż z obcej planety patrzymy na epokę ubiegłą?

— — — — — — — — — — — — — —

Pramotor wszystkich działań, idea najpierwsza i najpotężniejsza — miłość Ojczyzny nie stawia nam obecnie jasnego i górnego celu — wyzwolenia Ojczyzny swej z niewoli, ratowania duszy narodu przed zagładą. Nie stawia nam hamletowskiego zagadnienia — być, albo nie być — w tym zrozumieniu, co przed stu laty.

I tu jest właśnie owa różnica najistotniejsza pomiędzy epokami. Stąd początek bierze niezrozumienie czasów przeszłych, obcość duchowa (jeśli można się tak wyrazić).

I jeszcze jedna rzecz.

Nie odmawia nikt ideałom Mickiewiczowskim wielkości, ale wszystkie idee, wartości jako hasła używane, to mają do siebie, że jako meteory świecą blaskiem ogromnym, ale nie przez wieczność. Zwycięża je czas i życie, choćby były największe i najpiękniejsze.

Tak samo stało się z ideami romantyzmu.

I dlatego nie wywierają na nas one wrażenia, nie porywają nas idee dawne (nadużyto tu tego słowa), które trtzy pokolenia zmieniały na drobne. Mickiewicz by? działał? — prawda, i był wielkim — ale przeszedł. Zasięg działania jego nie dociera do nas.

Idziemy naprzód. —

— — — — — — — — — — — — — —

Taki jest stosunek młodych nowej epoki do przeszłości.

Wyciągnąć wnioski o wielkości przestrzeni, jaka dzieli nas od niej? — Innym może razem.

B. K. G. P. H. S.

MODLITWA.

Cicho już, jak w czas sumy w zakonnika celi...
Wszyscy śpią... lecz — szept jakiś od posłania
leci...
Na dziecinnym łóżeczku coś się w mroku bieli:
Przytulonych do siebie klęczy dwoje dzieci.
Z ocząt im łzy gorące spływają na wargi,
Jakby jęki ciche i bolesne skargi,
Co się łączą ze szeptem tłumionych pacierzy:

— „Bo się tatuś obudzi... On przecież nie
wierzy...“
Gorzki szloch wstrząsa ciałem rozżalonych
dzieci.
Chylą się, jako kwiaty, kiedy wiatr powieje...
Na ich blade twarzyczki jasny księżyc świeci
I jakby współczująco z wysoka się śmieje...

H. Habinowski, III-b G. P. H. S.

Z cyklu: *„Koralowe morza“.*

NIEZNANEMU BOGU.

...Haszyszem wedrze się w głębiny dusz,
Zapali w oczach światy nieodkrytych mgławic
I rozkolebie serce tęsknotą do południowych mórz,
Gdzie szumią palmy zielone na jawie, na jawie.
Czy słyszysz?... Szepcą fale rapsodię bez słów
— Pieśń o zwrotniku Koziorożca pachnie upalnym wiatrem —
Spojrzyj w twarz z dali... i popłyniesz znów
Na szaro-płynny, nieznany, a bliski farwather.
A nocą, cichą nocą samotny, biały maszt
Wskaże ci ponad głową dalekie, gwiezdne drogi
Pochwycisz dłońmi drżącymi jedną z gwiazd
I będziesz modlił się senny Nieznemu Bogu!...

T. K. G. P. H. S.

MUSZLE.

Dzwonią w uszach melodie bez nazwy — szum muszli —
O piaskach złotych, atolach, koralowych rafach,
O nocy pod Krzyżem Południa, o tęsknocie dłuszy,
Której słowo najgłębsze oddać nie potrafi...
W lagunie cichej palmy szumią ci zielenią,
A w noc gwiaździstą szepcą coś do ucha falom...
Zobaczysz tylko pustkę milknących przestrzeni,
Gdzie błędny ognik czasem złudnie się zapali...
Dziś noc pochmurna — i gwiazd nad tobą nie będzie...
Po falach cień się przemknął jak żagiel korsarza...
To korsarz?... a może to „tułacz-Holender?“...
Tej nocy zasnąć nie można — tej nocy będziesz marzył...
A rankiem, mglistym rankiem, gdy pryśnie czar nocy,
Pójdziesz, bohater z bajki wczorajszej, dziś mały,
Na wybrzeże i nie uwierzysz swoim oczom,
Że już nic nie ma, że tylko muszle zostały...

T. K. G. P. H. S.

Idę w świat.

W Świat przez duże „ś“, to znaczy w *mój* świat, w *moje życie!* życie? I jakież ono dla mnie będzie?

Dziś zdaje mi się, że cała moja ufność, cała moja niezłomn awiara w dobro i szczęście musi mi rzucać kwiaty pod nogi. Czy nie zawiodę się? Czy życie będzie dla mnie dobre?

Często w błękitnej godzinie wieczoru przychodzi do mnie to życie, przychodzi i kryje zazdrośnie swoje oblicze, jak pajęczyną osnuwa mnie srebrzystym woalem marzeń, a gdy się ocknę, już go nie ma, już znikło i znów nie wiem, jak wygląda, nie wiem, jakie dla mnie będzie!

Za parę miesięcy może już opuszczę mury gimnazjum! Za porę miesięcy pójdę w świat!

Gdzie będzie mój świat?

Czy spojrzę kiedy w zagadkowo uśmiechniętą twarz Sfinksa, czy będę mogła pieścić wzrokiem i dotknięciem smukłe kolumny, wśród ruin świątyń rzymskich? Czy zobaczę kiedy swe odbicie w błękitnej głębokości morza Śródziemnego? Nie wiem! Wiem, że świat woła mnie głosem tęsknoty z ukwieconych puszcz Ameryki i z śnieżnych równin dalekiej północy, i z głębin oceanu, gdzie drzemie legenda zatopionej Atlantydy; wiem, że będę musiała iść za jej głosem!

Dziś słyszałam ten zew w „Sonacie księżycowej“ Beethovena!

Tony miękkie, pieściwe, jak pocałunek księżycowego światła na przymkniętych powiekach, jak muśnięcie wiosennego, ciepłego wiatru, zamęt wprowadzają w utarty porządek moich myśli.

W górze, z poza chmur i mglistych oparów wyziera blada twarz księżyca i płynie wolno po niezmiernej przestrzeni nieba, dążąc jakimiś niezmiennymi, jemu tylko wiadomymi szlakami, gdzieś w Nieznane...

Czuję, jak promień zimny i smutny padł mi na powieki i wraz z nieziemską muzyką osiadł na dnie duszy, leciuchnym dotknięciem budząc struny smutku, żalu, czy tęsknoty za czymś, co mnie czeka...

Płyną tony, toczą się, niby kryształowe przejrzyste krople, dźwięczą cichutko, jak srebrne dzwoneczki, tocząc się po drodze utkanej z księżycowego blasku, chwilę zaledwie goszczą w mej duszy i już za chwilę zwiewne i niematerialne ulatują wyżej i wyżej, błądzą wśród oparów gwiezdnego pyłu i nakoniec pochłania je daleki, przyćmiony blask księżyca! Rozpływają się w zielonakwym, zimnym świetle i pozostaje po nich nieuchwytny tylko czar legendy, który mnie woła z nieznanych a upragnionych ziem.

A gdy zamarły tony, jakby nagle pękła srebrzysta struna czarodziejskiej harfy, i nastała cisza, zdawało mi się jeszcze, że słyszę coś tak cichego, jak szmer rozpływającego się w błękicie obłoku.

Gwiazda spada. Myślę, że to może duch wielkiego Beethovena błądzi wśród gwiezdnego pyłu.

— — — — — — — — — — — — —

Idę przed siebie. Mroźny wiatr tamuje mi oddech, ale idę, idę w stronę wschodzącego słońca. Świat jest dziś siwy od snujących się nisko dymów i szronu, na wschodzie zaś niebo jest ogniste od budzącego się słońca. Tam musi być mój świat — świat, którego nie znam...

K. K. G. P. J. S.

Polska kolęda.

Bywają w życiu naszego narodu takie chwile, kiedy cieszymy się z jakiegokolwiek sukcesu. Polaka bądź to na polu sportowym, bądź naukowym. Cieszymy się również, że pewna gałąź czy to nauki, czy to sztuki polskiej stoi na wysokim stopniu rozwoju. Częstokroć uważamy, że żaden naród, pod tym, czy innym względem przewyższyć nas nie może. Jednakże często doznajemy zawodu, przekonawszy się, że daleko nam jeszcze do zdobycia pierwszego miejsca. Jeśli jednak chodzi o kolędy, to z całą pewnością możemy powiedzieć, że żaden naród nie posiada tak licznych i pięknych, jak Polska. Ale czy choć jedna z koleżanek lub jeden z kolegów zainteresował się powstaniem tej kolędy, jej historią i pięknem?...

— — — — — — — — — — — — —

Wyraz kolęda pochodzi od łacińskiego wyrazu „calendae", który oznaczał pierwszy dzień każdego miesiąca. Stąd i początek roku rozumiano pod tym wyrazem. Ponieważ w wiekach średnich Nowy Rok obchodzono 24 grudnia, nic więc dziwnego, że obchód święta Bożego Narodzenia poczęto nazywać kolędą, wzorując się na starożytnym Rzymie.

Niektórzy uważają ,że wyraz ten pochodzi od starego bóstwa pogańskiego, również przez Polaków czczonego: Kolędy, Koledy, Kolady. Święto to obchodzono przez biesiady, zabawy i podarunki w rocznicę odradzającego się słońca, czyli w tym czasie, kiedy dnia już zaczyna przybywać.

Mniej prawdopodobne jest wyprowadzanie tego wyrazu od łacińskiego „colere" lub od wyrazów słowiańskich koładu, ku-kolanom.

Wyraz „kolęda" posiada jednak wielorakie znaczenie. Kolędy są to pieśni śpiewane w okresie świąt Bożego Narodzenia, kolęda — to dary ofiarowywane na Boże Narodzenie i Nowy Rok, kolędą wreszcie zowie się wizytacja parafii przez proboszcza. Poruszę tutaj kwestię kolędy, jako pieśni.

Pierwszy raz słyszano kolędy w XIII w. we Francji, gdzie to św. Franciszek z Assyżu, chcąc jaknajwierniej odtworzyć chwilę narodzin Dzieciątka Jezus, urządził pierwsze jasełka, podczas których śpiewano kolędy.

Kolędy dzielą się na kościelne, jak „Bóg się rodzi", apokryficzne, opowiadające o cudach Chrystusa Pana, pasterskie czyli pastorałki. Treść wszystkich kolęd stanowią główne szczegóły z Ewangelii św. Nie zawsze jednak możemy w kolędach dopatrzeć się prawdy historycznej. Charakter kolęd związany jest ściśle z charakterem danego narodu. To też nie zdziwi nas, gdy w kolędach naszych ujrzymy Chrystusa i Matkę Jego na podobieństwo nasze. — Żyją oni w naszych pieśniach podobnie, jak żyje biedny, polski chłop. Polskie kolędy są ściśle związane z duszą i charakterem polskiego narodu. Zachodnia kultura wraz z jej chrześcijańskimi pierwiastkami została przystosowana w nich do piasków mazowieckich, do wzgórz krakowskich i nizin wielkopolskich. Wprawdzie każdy z nas wie, że to wszystko dzieje się w Palestynie, jednak słyszymy i czujemy, jakoby rzecz działa się u nas, w naszych warunkach.

Jest w kolędach polskich mowa o różnych przygodach, ubóstwie, o składaniu ofiar nowonarodzonemu Jezusowi, ale nie przez betlejemskich, lecz przez naszych Bartków, Kubów, mówiących z mazurska, a wyrażających swą radość muzyką na dudach. Znajdujemy często wzmiankę o wiejskich budach ze słomy, o sianie, a nawet o śniegu i mrozie (!).

Kolędy zawarte w t. zw. kantyczkach odznaczają się treścią niewyszukaną, ton ich ludowy, niekiedy nawet rubaszny, jednakże zawsze w swej treści nacechowane są duchem prawdziwie religijnym.

Autorem kolędy był każdy, kto poczuł werwę i natchnienie. Przeważnie byli to księża świeccy, zakonnicy, klechy, bakałarze, słudzy kościelni oraz uczący się chłopcy. Utwory swoje nazywali pastorałkami, pieśniami pasterskimi, rotułami t. j. zwrotkami, symfoniami i t. p.

Jednym z takich autorów był Dachnowski, żyjący w XVII w. Napisał on zbiór 36 kolęd pod nazwą „Symfonie anielskie". Jest to pierwszy tego rodzaju zbiór. Doczekał się też Dachnowski tego szczęścia, o jakim marzył Mickiewicz:

„O gdybym kiedyś dożył tej pociechy,
Żeby te księgi zbłądziły pod strzechy."

W utworach takich, które i do ludu dotrą, musi tętnić szczere uczucie, z duszy narodu żywcem wyjęte, prostota i ton swojski. Tym właśnie odznaczały się utwory Dachnowskiego, z których część po dziś dzień jeszcze śpiewamy, jak: „Przy onej górze", „A wczora z wieczora", „Przybieżeli do Betlejem pasterze" i inne.

Kolędy utrzymane są w rytmie mazurka, kujawiaka, marsza, poloneza, krakowiaka oraz w duchu ludowych kołysane ki pieśni obrzędowych. Dzięki temu kolędy mają nadzwyczajną rozmaitość tak pod względem melodii, jak i pod względem rytmiki.

Przytoczę tutaj pewien fakt, wywołany skutkiem nadania kolędzie rytmu krakowiaka. Organista przy kościele Mariackim w Krakowie skomponował kolędę, którą odśpiewano po raz pierwszy na pasterce w 1809 roku, czyli w dniu wkroczenia Austriaków do Krakowa.

Nikt by nawet nie przypuszczał, że kolęda ta urośnie do znaczenia groźnej kolędy rewolucyjnej, której nie wolno było śpiewać, bez narażenia się na represje ze strony władz policyjnych. Tymczasem kolęda stawała się coraz popularniejszą, nadto melodii, utrzymanej w rytmie krakowiaka poczęto używać jako przygrywki do tańca oraz na różnych obchodach. Austriacy uważali, że kolęda ta podburza lud do powstania. W treści kolędy trudno dopatrzeć się jakichś rewolucyjnych pobudek. Jedynie melodia, a raczej rytm krakowiaka, jako tańca narodowego sprawił, że kolędę tę zakazano śpiewać, jako groźną pieśń rewolucyjną.

Liczba kolęd w XVII w. wzrasta. Przyczynił się do tego brak teatrów, koncertów. Życie prowadzono zamknięte w kółku rodzinnym, więc, gdy w święta zjechali się sąsiedzi, wspólnie śpiewano kolędy.

Długie zimowe wieczory nadawały się doskonale do wypróbowania nowych utworów. Do rozpowszechnienia kolęd przyczynił się przepis Kościoła, nakazujący proboszczom wizytację parafian. Służba kościelna, towarzysząca proboszczowi podczas wizytacji, śpiewała przy każdym domu pastorałki, często swojej kompozycji. Ludność z ciekawością przysłuchiwała się kolędom, ucząc się ich jednocześnie.

— — — — — — — — — — — — — —

Tak przedstawia się pokrótce historia kolędy, kolędy, której nuta w okresie świąt Bożego Narodzenia bezwiednie, nie wiadomo skąd nadbiega.

Władysław Jędrzejewski,
kl. IV-b G. P. H. S.

U R O K.

(NOWELA).

Przed otwartą na oścież stodołą stał z odkrytą głową Skorek. Żylaste dłonie zanurzał w złotawej pszenicy i rzucał przed siebie napęczniałe ziarna. Chwilami gładził zboże w ćwierci i radosnym a błogim spojrzeniem obejmował chatę, podwórko i to stadko krzykliwe u swoich stóp. Białe gęsiory wyciągające poważnie swoje długie szyje pogęgiwały uroczyście i zapraszająco na „staruchy", które pilnie zbierały swoimi szerokimi dziobami małe ziarna i kłuły od czasu do czasu uwijające się koło nich wróble i kury. Te ostatnie pod opieką koguta „jarzembioka" wiły się u stóp Skorka mieniąc się barwnym upierzeniem i czerwonymi brzebieniami na głowach. Kaczki o zielonawych szyjach nadbiegały długim rzędem znad rzeki przewalając się z boku na bok, podnosząc krótkie skrzydła do lotu, aby jak najprędzej stanąć u „wrótni" stodoły. Nieraz biały gołąb odlatywał pod oborę do klatki nakarmić młode, lub wróble przestraszone skinieniem ręki Skorka czmychały z szumem i piskiem na drzewa. Kiedy brakowało pszenicy na ziemi, cała szereda podnosiła główki ku Skorkowi, kury krzekorzyły prosząco, a zeszłoroczny gęsior spoglądał jednym okiem w otwór ćwierci sycząc na gęsi. Gołębie odlatywały wtedy za wróblami na dach, sadowiły się jak najwyżej skubiąc swe małe piórka, lub gruchając doniośle.

Znów rozpryskiwały się złote ziarna po zmarzniętej ziemi znów zlatywały się z dachu gołębie i gęgał królujący gęsior.

Skorek cofnął się do stodoły nakarmiwszy „gadzinę", wysiał przez przetak resztę pszenicy, a po chwili wyrzucał z zapola „kanioski" owsa. Za każdym razem powstawały kłęby kurzu, i kłębiły się w wąskich promykach słońca przedostających się przez szpary w drugich wrotach.

Czasem zaskwierczały drzwiczki od piwnicy trącone kanioskiem owsa, czasem zazieleniły się w ciemnym zapolu pod „buntami" po przeciwległej stronie oczy zimującej tu sowy.

Skorek odsapnąwszy i kichnąwszy kilka razy spuścił się po grubej linie na boisko, wziął cepy, splunął w dłonie i zaczął młócić. Żółtawa słoma podlatywała w górę pod ciężkimi uderzeniami, gruby „bijok" świszczał w powietrzu, a on szedł z końca do końca, walił mocniej a prędzej, wreszcie przestał młócić, przewrócił „sodzke" na drugą stronę, podgrabił i chciał dalej pracować, gdy z chałupy przybiegł siedmioletni syn.

— Tata, chodźcie-no, przysła Brónka Tatarechowa.

— Po co?

— Adyć nie wim. Przysed z niom i Bernasiów Jasiek i w mig kozali mi zaroz po wos lecieć!

— Pewnie prosić na wesele — mruknął z cicha. — A to sie cicho sprawieli. Pewnikiem zoden we wsi jesce o tym nie wie?

— Co godocie?

— Zebyś posed do domu. Zaroz przyjde.

Odłożył cepy pod „zopólnice", obtarł brudną chustką spoconą twarz, zawarł stodołę i długim krokiem poszedł do chałupy.

Wszedł, pochwalił Pana Boga, a Brónka z Bernasiem pocałowali go w rękę, niby księdza dobrodzieja u chorego, i chrząkając zapraszali go jak najuprzejmiejszymi słowami na wesele.

— Na wódke tom wos, krzesny, nie prosieła, bo nikogo nie beło, jak pieł u mnie; bo to widzicie boł sie, ze mu odmówicie i wstydu se przy ludziach narobi. Ale przecie na wesele to przydźcie, a furę dobrze usykujcie. Pojedziecie z nami do kościoła. A wy, krzesno, tez. Pa-

„Młodzież w niebezpieczeństwie".

W klasie zawrzało! Jak to? Nie o zakazy nam chodzi, ale o sąd o nas, o straszliwy dzwon trwogi „Młodzież w niebezpieczeństwie", który uderzył w naszych rodziców, a z tym większym bólem w nas samych. Jak to?

— Ależ daj spokój, są to sprawy, w omawianiu których trzeba zachować umiar i daleko idącą oględność. Co cię to obchodzi? Nie postępujesz tak, jak inni, nie dotyczą ciebie te głosy, więc zamiast zajmować się tym problemem, lepiej napisać coś wyłącznie literackiego.

— Nie masz racji, mój kochany! Właśnie dlatego, że trzeba zachować się z rezerwą, że rozumiemy wagę oskarżenia, musimy zabrać głos, musimy się bronić, choć, zachowaj Boże, nie chcemy krytykować zarządzenia władz.

Jesteśmy nawet szczerze wdzięczni i wychowawcom i rodzicom za takie postawienie sprawy, za energiczne zastosowanie środków lekarskich w stosunku do chorej, starszej młodzieży. Doskonale rozumiemy intencję starszego społeczeństwa, mamy dla niego cześć i szacunek, ale swoją drogą domagamy się prawdy i chcemy poznać przyczyny sprawy. U starszych rozpacz.

„Grasuje wśród młodzieży szkolnej nie tylko chamstwo we wzajemnych stosunkach, ale kradzieże, rozpusta, choroby — straszny szereg dowodów obniżenia się etycznej wartości tych, co stanowią przyszłość narodu". („Goniec Częstochowski" Nr. 19. 24. I. 1937 r. Pan K. P.) Zupełnie słuszna bojaźń społeczeństwa i o nas i o przyszłość, lecz skąd to straszliwe przerażenie, skąd to stwierdzenie przestępstw młodego pokolenia, domaganie się odsłonięcia zasłony i prześwietlenie wprost promieniami Roentgena duszy ucznia?

Rodzice domagają się prawdy. „Społeczeństwo ma prawo dowiedzenia się prawdy nie na jednym tylko odcinku, lecz na całym obszarze Polski. Wtedy dopiero będzie można zanalizować zło, jego przyczyny, pomyśleć o zatamowaniu źródeł zepsucia i zorganizować przeciwdziałanie wspólnymi siłami". (Tamże). Jest w tym coś dziwnego.

My pragniemy wiedzieć prawdę, szkoła zwraca się do domu, do rodziny o zwrócenie uwagi na poboczne wpływy osłabiające odporność moralną młodzieży, społeczeństwo znów bije w szkołę: „Ukrywanie takiego zła jest niedopuszczalne". (Tamże). A więc coś nie jest w porządku, zagubiła się istotna prawda, wszyscy jej szukamy, bo pozostawienie obecnego stanu jest niemożliwe.

Jest źle! Nie jesteśmy bez win, ale któż jest bez nich? Oskarżenie zarzuca nam charłactwo dusz, sknerostwo charakterów i zwyrod-

---

miętocie, jak zeście sie to niedowno śmioli, ze widać przezimuje i weselo sie nie dockocie, a tu już niedaleko, bo pojutrze.

— A no póść, to sie pójdzie. O bo pewnie. Na wesele krześnicki.

Po tym nastąpił poczęstunek ze strony młodych, żarty, śmiechy, a na końcu znów pocałunki i zaproszenia jednych, a zapewnienia drugich. Już byli młodzi na progu, gdy Skorek zapytał:

— A któż ta bedzie na weselu?

— Bedom Sceponowa z Górki, krzesno, bedom Cyganki ze starym Mądralkom, Detki, Morcinki, Marecek, Jęcmyki i panny z chłopokami.

— A Grzelocki nie zaprosita? Toć to somsiadka!

— Ady gniewomy się jesce od jesini. Niech sobie połyko ślinke. Za łoknem bedom ji grać, śpiewać...

— Źle. Wies, ze łóna to carownica, moze nom zaskodzić.

— Godojcie, godojcie głupstwa.

Roześmiała się głośno, pokazując dwa rzędy białych zębów, uderzyła Jaśka w ramię, aż się zakurzyło, a wycałowawszy się ze Skorkową, wyszła spraszać drugich na wesele.

Bedzies stary co jod?

— A co ta mos?

— Jest ino chleb z masłem. Nie długo będzie obiod.

— Wies ty, ze mi się dobrze zachciało zryć. Myślołem ino tam troche owsa lo kobeły omłócić i przyś pojeś, kiej Stach przylecioł.

Za chwilę leżał przed nim bochen białego chleba i masło w glinianym garnku, a on ruszającym się kozikiem kroił grube, podługowate kromki, smarując je cienko masłem i wcinał w mig, zgłodniały. Kiedy się najadł do syta, odłożył chleb i masło na bok, przeżegnał się, obtarł zwisające wąsy rękawem, nałożył czapkę i poszedł młócić do stodoły.

Młócił nie długo, po tym związał słomę w jeden snopek, wygrabił, wywiał „wiejockom", plewy podmiótł na kupę, a ziarno wyniósł w worku do „kómory" zostawiwszy miarkę dla kobyły.

Codziennie dostawała taką miarkę, to też nic dziwnego, że była „nojpiekniejsom" we wsi.

Kochał ją też Skorek, pielęgnował, niczym dziecko. Dumą mu była i pociechą. A rozumieli się dobrze. Ot i teraz, skoro tylko otwarły się ciężkie drzwi od stajni, zajrzała cicho i radośnie. Poklepał ją po plecach, połechtał,

nienie moralne. Ale my widzimy, spostrzegamy i wyciągamy analogiczne wnioski też. I należy stwierdzić, że mimo wszystko, tak potwornie źle nie jest.

Jeżeli zarzuty są słuszne w odniesieniu do jednej trzeciej młodzieży, to dwie trzecie pozostają naprawdę bez win, młodzieńcy myślący poważnie, z wiarą w ideały. Zeszliśmy z prostej drogi, zapomnieliśmy się, dziękujemy za zwrócenie uwagi i potrafimy znieść godzenie w naszą godność i słuszną karę. Chcemy jedynie tylko prawdy, chcemy też ułatwić Wam pracę, wykazując sami, co jest w nas złego.

W poszukiwaniu przyczyn jedno uderza bardzo wyraźnie. Młodzież dzisiejsza staje coraz bardziej na gruncie rzeczywistości, staje się realna, praktyczna i życiowa. Dr. Judym jest uważany za maniaka, a przepiękne idee Mickiewicza idą w kąt. Tych, co z głębi swych przekonań walczą o moralność poczynań ludzkich, o prawdę myśli, pomija się pogardliwym uśmieszkiem i z ironią rzucanym słowem: „idealista" lub „romantyk".

Do życia młodzieży szkolnej wciska się coraz wyraźniej praktyczność, która w złym zrozumieniu prowadzi do tego, że „cel uświęca środki". O ideałach się mówi, tak, nawet dużo, ale z uśmieszkiem, jak o złudach i rzeczach nierzeczywistych.

To stawanie na gruncie doraźnych tylko korzyści, pominięcie lekceważące spraw duchowych, delikatne przekonywanie o bezsensowności metafizycznych porywów i kult ludzi o twardych pięściach ujarzmiających życie — przeradza się w chamstwo.

Ale in medias res. Chodzi o moralność, a zasady etyczne. Te, mimo wszystko, u młodzieży istnieją i będą istnieć, a że są wyjątki i to dość nawet liczne, różne są tego przyczyny, jak np. bieda, brak warunków do solidnej pracy i t. p.

Musi wszakże nastąpić przeobrażenie psychiczne i regeneracja.

Jest to bezwzględną koniecznością, mimo tego, że z drugiej jednak strony ci, którzy przyczynami są uderzania na alarm, są od najwcześniejszej młodości dojrzali w złym kierunku, a zmiana ich przekonań i zapatrywań musi być zmianą ich osobowości, co jest bardzo trudne.

Wyplenić karierowiczostwo, zgnieść parweniuszowski typ bursza, tego na pewno nie da się zrobić zwalczaniem samych objawów zła. To nie wystarczy. A wewnętrznego zła nie usunie ani szkoła, ani społeczeństwo. To jasne. *Musimy zrobić to sami.*

Wzrok opinii publicznej zwrócony jest na starszą młodzież, jej rozpustę, pijaństwo i inne straszliwości, a należało by zwrócić uwagę przede wszystkim na podstawy, na dzisiejsze drugie i trzecie klasy, w których, delikatnie mówiąc, szerzy się „immodestie" i obejmuje coraz szersze kręgi.

Ci, którzy myślą choć troszkę inaczej, z

---

poczesał zgrzebłem, potargał za grzywę, obrzucając ją pieszczotliwym spojrzeniem. Wsypał następnie „pókworcie" ospy do gotowanych ziemniaków w wodzie, zamieszał rozłupanym „dzierzokiem" i wniósł do stajni.

— Następ się, maulski, nu!

Wylał wszystko z wiaderka do żłobu, umieszał ze sieczką i stanął, przypatrując się faworytce. Jej kasztanowata króciutka sierść lśniła się pod światło. Jaśniejsza grzywa opadała długimi warkoczami na szeroką szyję, uszy nieduże poruszały się od czasu do czasu. Nieraz odwracała się do niego, ukazując sporą „łysinę" biegnącą od nozdrzy aż po czoło. Rozdymała nazdrza, wypuszczając prosto na niego kłęby pary, a on, jakgdyby z dzieckiem się bawił, dmuchał na nią, robił najdziwaczniejsze miny, obejmował za szyję i klepał po pysku. Przebierała też kopytami z radości i ochoty, tylko białe „pęciny" śmigały w półmroku.

— — — — — — — — — — — — —

Tatarkowa chałupa wyglądała dzisiaj odświętnie. Chociaż to była niedziela, no ale przecież na zwykłą tylko niedzielę tak się chałupy nie oporządza. Wybielone jasno ściany świeciły z daleka, podwórze zamiecione do czysta, drzewo poukładane równiutko pod strzechami, a nad drzwiami gałęzie świerkowe.

Odbywało się wesele.

Już byli wszyscy po poczęstunku i śniadaniu, kiedy Skorek przyszedł z żoną. Starosta w mig go ujrzał, przywitał, jak się to na weselu należy, nalał kielich wódki, podał Skorkowi, a drugi Skorkowej.

W chałupie był tłok wielki, bo oto „młoducha z młodym" mieli wyjeżdżać do ślubu. — Wszystkie druchny stanęły w półkolu pod jednym oknem, naprzeciwko muzykantów, za nimi stare baby, a wszędzie kręciły się ciekawe dzieci. Za chwilę miał się rozpocząć śpiew. Druchny szeptały coś do siebie, poprawiały sobie włosy i zatknięte za czubki gałązki mirtu, spoglądały na swoich drużbów, porównywały ich „kwiatki", który ładniejszy i z niecierpliwością oczekiwały znaku do rozpoczęcia śpiewu. Baby w czerwonych zapaskach i białych chustkach na głowach prowadziły ożywione rozmowy na temat ubioru druhen i roztrząsały smak podawanej kawy i placka. „Muzykancio" z papierosami za uszami pobrzdękiwali w struny, a bębnista uderzał niekiedy w bęben, że ino głuchy warkot, niby grzmot rozchodził się po izbie.

przerażeniem słuchają rozmowy takich pseudomalców. Niech kto powie, że to oklepany frazes, ale wprost uszy więdną.

Koniecznie trzeba przeciwdziałać złu wśród małych, którzy później wyrastaj ąna zdegenerowanych młodzieńców i przynoszą ból i wstyd. Nie każdy ma to szczęście, że w okresie przełomu psychicznego zrzuci te świństwa z siebie, jak zgniłą płachtę i pójdzie innym torem. — Otwierają się przed nimi podwoje Harcerstwa i tam należałoby ich popchnąć, tam znajdą wszelkie dane do zewnętrznego i wewnętrznego rozwoju.

Przy obecnym stanie rzeczy występuje jasno myśl p. ministra W. R. i O. P. w jego ostatniej przemowie o selekcji i elityzmie wśród młodzieży. Szlachetność charakterów jest rzeczą pierwszorzędnej wagi.

Jesteśmy pełni dobrej woli i nadziei, chcemy iść na rękę starszym, ale tak źle, jak oni sądzą, nie jest i oskarżenie samych nas dotyka boleśnie. *J. H.* G. P. H. S.

„Jeden z wielu".

Jaki on głupi! — mówili koledzy. Jaki tępy! — przytakiwali profesorowie. Wszyscy uważali go za bezużyteczną, tępą jednostkę, nie nadającą się absolutnie do dalszych studiów, jednostkę, którą trzeba jak najszybciej usunąć. Miecio jednak innego był zdania. Nie oburzał się, nie protestował, gdy mu wyrzucano jego lekkomyślność i tępotę, spoglądał tylko na oskarżycieli, wydymając pogardliwie wargi i bąkając pod nosem słówka — jemu tylko zrozumiałe — osuwał się na szkolną ławę, po czym z zadziwiającym natężeniem i uwagą wpatrywał się w punkt jakiś, który sobie uprzednio wybierał. Punktem tym była nieraz głowa profesora, nos kolegi - sąsiada, lub tablica zapełniona znakami, których Miecio w żaden sposób zrozumieć nie mógł. Był próżniakiem — i z tym się zgadzał — ale z twierdzeniem, jakoby był tępy — pogodzić się nie mógł. Nie łatwo jednak było zmienić wyrobione już od lat o nim mniemanie. Był jeden tylko sposób, jeden ratunek: Napisać coś do pewnego pisma, „Światem Szkolnym" zwanego. Koledzy jego bowiem mierzyli swe zdolności i inteligencję na ilość artykułów w piśmie tym zamieszczanych...

...I zaczął Miecio w wolnych od nauki chwilach, t. zn. dnie całe, myśleć, pisać, tworzyć. Nędzne to jednak były „twory": zlepki i urywki z artykułów pism wszelakich, bezwartościowe „nowelki"... Posyłał to wszystko każdego miesiąca do redakcji i, o dziwo! Wszystkie, bez wyjątku, wszystkie były przyjmowane i na honorowych miejscach zamieszczane. Kry-

---

Nagle ucichło w izbie, bo druhny poczęły śpiewać:

„A wy muzykancio, zagrojcie nom pięknie,
Niech nom panna młodo na kolana klęknie".

„Muzykancio" zagrali na tę samą melodię, starościna rozpostarła lniane prześcieradło na ziemi, a młoda para wyszła z komory i klękła na prześcieradle twarzą do obrazów. Bogata „kiecka" młoduchy czarowała oczy zebranych, „merciany wionek" zielenił się na ciemnych włosach, a długi welon spływał na prześcieradło.

Szmer podziwu przebiegł izbę, bo młoducha była ładna i ładnie ubrana, ale niektóre baby znalazły coś nieakuratnego w jej stroju, bo pokazywały ją sobie skrycie palcami, wnet jednak ucichły, bo znów się rozległ śpiew:

„Dejciez nom kropidła i święcóny wody,
Pomiędzy młodemi nie bełoby zgody.
Nie bełoby zgody, ni zodny miłości,
Nie kochaliby sie do samy starości."

Wyniesiono wodę święconą z kropidłem...

— „A wyjdź ze, wyjdź, mamusiu, z kómory,
Przezegnoj, przezegnoj ten wionecek z głowy"...

Z zapłakaną twarzą wytoczyła się Tatarkowo z komory, pokropiła głowy młodych, rzuciła się z płaczem w ramiona córki, długo ją tuliła do siebie, wreszcie odeszła na bok, a za nią, wywoływani śpiewem panien, szli żegnać się z córką ojciec, bracia, siostra, krzesny i krzesno, bliższe sąsiadki, kumy i druhny.

W międzyczasie spojrzał Skorek w okno i naprzeciwko, w drugiej chacie, ujrzał w oknie rozczochraną głowę Grzelocki i jej zjadliwy a szyderczy śmiech. Zaniepokoiło go to, ale nie mógł na ten temat rozmyślać, bo młodzi właśnie wstali i zaczęli się zbierać do odjazdu.

Wybiegł z chałupy szykować wóz dla młodych i łowił tylko dźwięki weselnej pieśni:

„Pięknom kompanijom Jasiu mioł,
Kiedy do ślubu wsiadać mioł.
Pięknom kompanijom i obroz,
Najświętsza Panno, prowodź nos, prowodź nos!

A prowodź ze nos Jezusie
Łod ty kochany mamusie.
A prowodź ze nos i Trójca
Łod kochanego, łod łojca."

Kiedy Skorek zajechał furę przed sień, w chacie był rwetes, krętanina i słychać było wesołe śpiewki:

„A ty nasa Bróncio, a zabieroj sie z nami,
A powieś se wionecek, a w sini nade drzwiami".

Wszyscy weselnicy wyszli na dwór z weso-

tycy szaleli z zachwytu, koledzy nie mieli słów uznania dla tajemniczego „Emka“, pod takim bowiem pseudonimem ukrywał się Miecio...

I głowili się wszyscy, kto by mógł być twórcą artykułów tak wspaniałych. Autora jednak nie wykryli, bo któż by się mógł domyślić, że „Głupi Miecio“ coś napisać może...

Zdradziła go dopiero własna głupota i nieostrożność... Przyjechawszy bowiem z feryj, które spędził w zacisznych okolicach Wilna, przepisał artykuł z zeszłorocznego numeru krakowskiego „Kuriera“, piękno wileńszczyzny opiewający i ozdobiwszy go swymi inicjałami, posłał do „Świata“... Po dniach kilku zawrzało w szkole, jak w ulu. Uczniowie podawali sobie z ust do ust wiadomość o odkryciu autora pięknych artykułów „Świata“. Gdzieniegdzie potrząsano z powątpiewaniem głowami, w końcu jednak zgodzono się ze zdaniem większości. Bo któż inny mógłby opisać podróż po wileńszczyźnie, skoro jeden tylko Miecio tam był? A poza tym, czyż pierwsze litery nazwiska Miecia nie zgadzają się z tajemniczym pseudonimem? Tak! Teraz odpadły wszelkie wątpliwości co do nieznanego „Emka“...

I dla Miecia zaczęło się nowe życie. Zmienili swe zdanie o nim wszyscy i został „jednostką pożyteczną, chlubę gimnazjum przynoszącą...“ — A to wszystko dzięki temu, że pisał do „Świata“... *SęP.* G. P. R. T.

Z teatru.

Cicho, bez krzyczących afiszów, bez żadnych zapowiedzi, został otwarty sezon teatralny w Częstochowie w początkach grudnia ub. r.

W parę dni po podpisaniu kontraktu z miastem wystawiona została tragikomedia w 3-ch aktach p. t. „Zabije ją...“ Giny Capo i Artura Rossato w przekładzie Zofii Jachimeckiej. — Dzięki zapobiegliwości p. dyr. Brodzikowskiego, mimo spóźnionego znacznie terminu otwarcia teatr odrazu stanął na wysokim poziomie; można było zobaczyć różnicę między obecnymi przedstawieniami, a „gościnnymi występami“ różnych artystów. Gra p. Kochanowicza i p. Wańskiej oraz dekoracje efektowne p. Krassowskiego zachęciły zrażoną uprzednio publiczność do uczęszczania do teatru.

Następnie oglądaliśmy lekką komedię Władysława Fodora p. t. „Małżeństwo jakich mało“ w przekładzie Cz. Strzeleckiego. Porusza ona problem ciągle żywotny — miłość. Widzimy tutaj, że los w sposób złośliwy łączy miłość młodej kobiety z miłością starszego mężczyzny. Sprawa komplikuje się w sposób zabawny, stwarzając wiele sytuacyj pełnych humoru. Dobra gra artystów, a w pierwszym rzędzie p. Kochanowicza, p. Wańskiej, p. Kara-

---

łymi i rozochoconymi twarzami.

„Siadoj sobie na wóz, warkocki se załóz,
Bo jo po cie przyjechał,
A cy ni mos woli,
cy cie główka boli,
cy ci łojca, matki zol.“

Dwóch tęgich parobków schwyciło Brónkę i wsadziło na wysoki, pasiatą derką nakryty wóz.

„Jak Bróncia na wóz wsiodała,
Rutka ji z wionka leciała,
Druhenecki jom zbierały
I Jasiniowi dowały.
A naści, Jasiu rutecka
Z Bróncynego wionecka.“

Wszyscy się usadowili na furze, ale Skorek jeszcze nie jechał, aż „starso druhna“ ochrypłym głosem zaśpiewała:

„A te nas kóniki, a nie rusom, nie rusom,
A jak jo im zaśpiewom, a to musom, to musom“.

Muzykanci zagrali marsza, otwarły się wrota i rwące się do jazdy konie pomknęły.

Oczywiście Skorkowa kobyła wywijała siarczyście głową, tylko grzywa powiewała w powietrzu, stępała z góry, skakała, aż kolorowe ozdoby z niej spadały.

Skorek zacierał z radości ręce, śmiał się i aż wąsy przygryzał z dumy. Ale jakoś spoważniał spojrzawszy w Gąsiorów „sodek“, gdzie zamajaczyła postać Grzelocki.

I nie zajechał nawet do kaplicki, co o jakie „stajanie“ stoła od wsi, gdy naraz jego kasztanka zastękała, zatoczyła się i ciężko przewróciła się na dyszel, łamiąc go.

Skorek znieruchomiał. Zeskoczywszy z fury, stanął nad kasztanką, dopiero parobcy z nadjeżdżających fur ,wyprzęgli ją i prawie nieżywą odnieśli na pole, a do fury zaprzęgli inną kobyłę i pojechali.

Przyszły baby, odczyniały uroki, ale wszystko na próżno.

— Posłać po weteryniorza — ozwał się jakiś głos.

— Patrzta go, jaki mądrala, kiej urok, to zoden doktór nie pomoze.

* * *

Młodzi przyjechali ze ślubu, blade słońce kryło się pomału za łysińskim lasem, a Skorek, otoczony garstką dzieci stał nad swą kobyłą i patrzał na jej ruszające się boki, na nogi dygocące i mgłą zachodzące oczy.

— Urok, urok — szeptał i komuś niewidzialnemu pogroził w powietrzu pięścią.

I. Fatyga. G. P. H. S.

sińskiej oraz Vorbrota przyczyniły się do stworzenia miłej całości. Należy zwrócić jeszcze uwagę na efektowne dekoracje wykonane przez p. F. Krassowskiego.

Ostatnio oglądaliśmy komedię w 3-ch aktach Hemara p. t. „Firma“.

Kilka dni przed premierą afisze i zdjęcia wystawione w witrynach sklepowych ogłaszały przybycie artysty i reżysera Teatru Narodowego i Polskiego p. Jana Boneckiego. Kto był na tej komedii (a spotykało się sporo młodzieży na przedstawieniach popołudniowych o godz. 15-ej lub 17-ej m. 45) był zdobyty dla teatru. Wspaniała gra p. Jana Boneckiego w roli kupca kolonialnego, który potrafił dać maximum humoru i stworzyć sporo sytuacji komicznych, a zarazem wzruszyć prawie do łez w momentach tragicznych, oraz świetna gra p. Wańskiej, która bardzo swobodnie i z wdziękiem grała rolę aktorki, sprawiły na publiczności niezapomniane wrażenie. Trudną rolę buchaltera dobrze zagrał Stefan Golczewski. — Zawsze pełna życia i humoru p. Helena Tańska, wywiązała się z roli Marcysi, garderobianej, też bez zarzutu. Dekoracje pierwszorzędne.



Halina Wańska,
artystka teatru częstochowskiego.

W pierwszym akcie mieliśmy zupełne złudzenie, że siedzimy w pociągu Warsazwa — Lwów, który gna z zawrotną szybkością. Całość bardzo udana, toteż publiczność nagradzała każdy akt brawami i widać było, że wszyscy są zadowoleni.

Co raz większa popularność teatru wśród mieszkańców naszego miasta i co raz lepsze sztuki pozwalają wróżyć, że Częstochowa stanie się naprawdę miastem, które nie może żyć bez teatru.

Książki, godne przeczytania.

„Dzieci“ — Jana Brzozy. — Pisarz współczesny. Książka przedstawia życie „dzieci ulicy“. Napisana bez patosu i przejaskrawienia. Każdy obraz przedstawiony z prostotą, wydaje się zupełnie naturalnym. Wnikliwa psychologia i znajomość duszy dziecięcej — duszy „dziecka ulicy“, z którym autor odczuwa i przeżywa wszystkie zdarzenia i akty psychiczne — mało — nawet rozumuje i czuje się jednym z tych „bezdomnych dzieci“. To nie książka, ale fragment wyrwany z życia. Strzęp życia, mieniący się wszystkimi barwami rzeczywistości. Nie ma tu przesady, jak nie ma przesady w tym, że autor całą duszą woła o pomoc i opiekę nad „dziećmi ulicy“. Opieka społeczeństwa jest niewystarczająca i z gruntu fałszywa, i dlatego dostaje się pod pręgierz. Oto jedna z „pań z Komitetu“ traktuje „dzieci ulicy“ jako środek do zdobycia popularności, inna lepszej posady (bezinteresowność!), a jeszcze inna awansu dla męża (poświęcenie!, ale dla kogo?). Może są inne, które pragną szczerze zająć się dziećmi — może? Większość jednak ani tego nie rozumie — ani nie poczuwa się do tego obowiązku. Ogół społeczeństwa zaś nie opiekuje się dziećmi — sam kręci na siebie podwójny bicz: krytyczny autora i ten, którym odpłacać będą się te właśnie „dzieci“ nie wychowane, a co gorzej wypaczone i wykolejone. Ze względu na aktualne zagadnienie, jak i talent autora — książka naprawdę „godna przeczytania“.

Axel Munthe — „Księga z San Michele“. Pisarz szwedzki. Już samo nazwisko, znane w świecie naukowym i literackim, przemawia za tym, aby książkę tę przeczytać. Czy jest to autobiografia — czy pamiętnik lekarza? to jest rzeczą mniej ważną. Ważnym jest to, że „Księga“ ta może być nazwaną ewangelią lekarzy-społeczników, traktujących swój zawód — jako świętość i kapłaństwo. Barwnie i żywo napisana i uwzględniająca najbardziej współczesne zagadnienia społeczne i lekarskie (autor jest lekarzem) — jest koroną dzieł pisarza. Oto kilka zagadnień: „Jak długo jeszcze mamy cierpiącej ludzkości narzucać drogie preparaty i środki lecznicze, noszące wprawdzie nazwy współczesne, ale pochodzące z średniowiecznych przesądów? Czemu rządy wszystkich państw wydają po tysiąc razy więcej pieniędzy na naukę o zabijaniu, niż o leczeniu? Czemu budujemy tyle komfortowych gmachów, przeznaczonych dla zawodowych bandytów i włamywaczów, a tak niewiele mamy przytu-

lisk dla bezdomnych biedaków z dzielnic nędzarzy? Dlaczego nie wymagamy, aby przestępcy sami się utrzymywali? Umiejętność robienia ze wszystkiego pieniędzy jest zdolnością specjalną o bardzo wątpliwej moralności“. — Zagadnienia same mówią za siebie — nie trzeba dodawać. Autor-lekarz dorósł do swego posłannictwa i kapłaństwa społecznego.

Al-Ol. G. P. R. T.

O oszczędności.

— Ale się z ciebie zrobił sknera, na brodę Abrahama!

Powyższe zdanie było wyrazem niezadowolenia, bynajmniej nieukrywanego i niezważającego na żadne względy uprzejmości i delikatności, a posuniętego do ostatnich granic.

Niezadowolenie to miało ważny powód i było całkowicie uzasadnione odmową zafundowania biletu do kina przez Fredka Edkowi, który był przyjacielem od serca tego pierwszego.

— Doprawdy — mówił Edek rozżalony — od pewnego czasu stałeś się dziwny. Pieniądze masz, a skazujesz swojego kolegę na pustelniczy żywot pozbawiony najniewinniejszych rozrywek. Po co dusisz grosze, jak stary kutwa?

— Oszczędzam.

— Bujda. To jest tylko zamrażanie kapitału, który można zużyć dla uprzyjemnienia życia. Nie pozwalasz sobie na wiele rzeczy miłych, a chowasz groszaki na kiedyś, na przyszłość. A tymczasem to nierozsądnie, bo zanim uzbierasz odpowiednią kwotę, cierpisz. Nie tylko ty, ale i ja, co gorzej. A co będzie, jeżeli złodziej ukradnie ci oszczędności, jeżeli je zgubisz, albo jeśli K. K. O. splajtuje, lub wybuchnie wojna? Stracisz tylko .

— Głupstwa mówisz. Oszczędność to nie jest zamrażanie kapitału, bo kapitał nie leży bezczynnie, ale jest zaprzęgany do pracy. Poza tym odmawiasz sobie wiele, ale tylko na razie, bo z chwilą, gdy wyciągniesz z kasy oszczędności większą kwotę, stoi otworem przed tobą wiele uciech dotychczas niedostępnych z powodu kosztów, jakie pociągają za sobą. A co do możliwości skradzenia i bankructwa kas, uważam, że nie potrzebuję ci na to odpowiadać. Lokuje się oszczędności w takiej instytucji, która gwarantuje pewność swoim majątkiem. Oszczędzanie — to racjonalne używanie i wykorzystywanie warunków życia.

— Et, mów swoje, a ja wiem swoje. Daj na kino z naszej wspólnej kasy i chodź ze mną.

— Nie dam.

— Wiesz co?

Tu ton Edka stał się uroczysty, a jego twarz przybrała wyraz niebywałej powagi.

— Byliśmy towarzyszami doli i niedoli na szkolnej, wspólnej ławie...

Fredek spojrzał na niego zdziwiony, żywiąc poważne obawy, że mózg jego kolegi nie funkcjonuje należycie. Cóż miał znaczyć ten niezwykły wstęp? bo Fredek czuł, że nastąpi coś niebywałego.

Tymczasem Edek mówił dalej:

— Dzieliliśmy się jednym śniadaniem, z jednej książki się uczymy, nierzadko w jednym zeszycie piszemy, razem ściągamy. Nie dosyć na tym. Chodzimy w jednym krawacie, mamy wspólną kasę i wszystko było w porządku do tego czasu. Tymczasem ty włożyłeś bezprawnie wspólną sumę do K. K. O. To gwałt, rabunek w biały dzień!

— Czyń, co chcesz. Ja swego stanowiska nie zmienię. Zobaczymy niezadługo, kto ma rację. Masz swój „udział“.

— No, więc servus. Idę do kina, dusigroszu.

Schował swój udział, wynoszący zawrotną sumę 2,20 zł. do kieszeni i odszedł gwiżdżąc.

* * *

Od tego zdarzenia upłynął szmat czasu. Nadeszły wakacje i młodzi w grupkach, czy pojedyńczo, opuszczali duszne miasto, udając się na wieś, gdzie zmywali z siebie kurz, jakim pokrył ich trud całorocznej pracy.

Fredek, nie zważając na piekielny upał, szedł raźno w towarzystwie Edka, który markotny, zły i zgryziony odprowadzał przyjaciela na stację. Przerażała go perspektywa spędzenia całych wakacyj w mieście, gdzie był skazany na okropne nudy. Zazdrościł Fredkowi udającemu się na beztroską włóczęgę po Polsce i przeklinał siebie samego za to, że nie usłuchał rady przyjaciela.

— Widzisz — Fredek mówił łagodnie, chociaż nie mógł się powstrzymać od złośliwych uwag, — przekonałeś się, że mam rację. Prawda, że cały rok nie puściłem ani grosza, ale teraz przynajmniej mogę nazwać się zadowolonym.

Weszli na peron. Fredek uścisnął prawicę towarzysza, usiłując pocieszyć strapionego Edka, który żałośliwie łypał okiem na jego turystyczny ekwipunek.

Nadjechał pociąg, zazgrzytał hamulcami i odsapnął, jak koń pocztowy po długim biegu. Fredek zniknął w wagonie pozostawiając Edka drapiącego się za uchem, co u niego oznaczało przygnębienie bez granic. Spoglądał ponuro na rozpalone bruki i pogrążał się w beznadziejnym smutku. Wreszcie odsapnął i pogodzony z losem machnął ręką. Po drodze obiecywał sosolennie skrupulatnie składać najdrobniejsze grosze. Wprowadzając zamiar w czyn, włożył złotówkę do K. K. O. To mu ulżyło.

E....m. G. P. R. T.

Harcerze mówią.

Okres ostatni był ubogi w ważniejsze zdarzenia na terenie drużyny, ze względu na ferie Bożego Narodzenia, które przerwały tok pracy. Niepogoda w czasie wakacyj nie pozwoliła wykorzysta ćodpowiednio czasu wolnego celem urządzenia wycieczek zimowych. — „Wyścig wycieczek zimowych“ zaczął się 13 grudnia 1936 r., a jest to drugi okres „Trzyletniego Wyścigu Pracy“, mający na celu wyprowadzenie pracy harcerskiej z dusznych izb w teren.

Jedynie dwóch harcerzy z drużyny wykorzystało w pełni okres ferii uczestnicząc w kursie narciarskim Komendy Chorągwi Harcerzy w Zwardoniu.

W ostatnich dniach odbyła się uroczysta wieczornica drużyny, połączona z opłatkiem i pożegnaniem ustępującego drużynowego. Wrażenia z tej wieczornicy zamieszczone są poniżej.

— — — — — — — — — — — — —

Stał się cud! Żadne jeszcze kroniki nie notowały takowej frekwencji, jaką mogła się poszczycić wczorajsza wieczornica „trójki“ (?).

Zjawili się nawet i ci, których przed tym ucho usłyszeć a oko dojrzeć nie mogło!

Wszyscy... Dosłownie wszyscy.

Tworzyli razem z tłem wdzięczny temat do odmalowania siódmego kręgu piekieł.

W ogólnym tumulcie zabrzmiał jak zapowiedź sądu ostatecznego rozkaz: Baczność!...

. . . .

Mocnymi słowami żegnał nas ustępujący drużynowy. Czuliśmy, że te jego ostatnie wskazówki pozostaną nam zawsze w pamięci, jako fundament naszych dalszych poczynań.

W odpowiedzi dziękował mu serdecznie d-h opiekun za jego poświęcenie dla nas.

My zaś przyrzekliśmy sobie postępować dalej według jego zasad.

. . . .

Miłe zapachy łechtały drażniąco nasze powonienie. Szara brać poczęła się już mocno niecierpliwić, gdy w tym...

. . . .

...Wódz skinął buławą. Rycerstwo zaintonowało pieśń bojową: „Gdy po ćwiczeniach wolny mamy czas...“ Za czym ruszono do boju.

Pierwsza pomknęła lekka chorągiew nadworna. Porucznikował jej sławny kawaler Imć Pan Poniewierski, herbu „Ospałek“.

Szła, jak w dym. Dopadłszy pierwszych linii wroga, wbiła się weń klinem.

Grad kulistych „pączków“ powitał chorągiew, szkody jednak nikomu nie czyniąc, bo szła, jak wicher. Kopie otwarły bramę w zbitej masie jadła. Trup padał gęsty!

W sukurs swoim pospieszyły następne chorągwie. A więc: Straszna w ręcznym spotkaniu chorągiew „Słoni“. Służyli bowiem w niej sami zabijacy ze sławnym rębajłą Dysgrandem, herbu „Pomian“ na czele.

I sławna chorągiew z samej szlachty „Wilków“ złożona. Jeźdźcy pochyleni nad końskimi grzywami, z okrzykiem „Bij! Zabij!“ — wpadli na wroga. Kurzawa okryła walczących. Zgiełk bitewny bił w niebo. Już i pospolite ruszenie poszło w ogień, wrzask czyniąc srogi. Prowadzili je dwaj osiwiali w bojach rycerze Imć Pan Ptaszek, herbu „Zemba“ i Imć Pan Kuchar z Wąsoszy.

I nic widać nie było.

Tylko po brzęku talerzy, świście i zgrzycie szablic (noży), można było poznać, jak straszna panuje tam rzeź. Mąż zwarł się z mężem, nóż z widelcem. Victoria przechylała się to na tą, to na tamtą stronę.

Lecz jeszcze została husaria.

Z daleka rzekłbyś, bór ciemny, co prosto z pola wyrasta, groźna ławica mężów i kopii. Wódz skinął na porucznika: Prowadź!

Namiestnik Imć Pan Ryś, „Bystrym“ przezwan, wzniósł koncerz do góry.

Jęknęła ziemia i żelazna nawała ruszyła naprzód... Już wzięli pierwszy impet...

Ciężarem swoim zdruzgotali nieprzyjaciół, tak, jak walący się mur druzgocze stojących pod nim ludzi. Srogie larum podniosło się na tyłach i paniczny strach ogarnął nieprzyjaciół...

. . . .

Zachodzące słońce przeglądało się w kałużach krwi, podziwiając naszą żarłoczność. — Nieprzyjaciel leżał pokotem. Zdobyczne chorągwie łopotały na wietrze. Czeladź zbierała pogięty oręż.

Zmierzch zapadł!

Wesoła trójka 3 Z. D. H.

Inwestycje w zwalczaniu bezrobocia.

REPORTAŻ Z DYSKUSJI W „KOLE PRACY SPOŁECZNEJ DLA PAŃSTWA IM. J. PIŁSUDSKIEGO“ PRZY G. P. H. S.

Polskie Radio rzuciło w „audycji dyskusyjnej“ w związku z aktualną obecnie kwestią społeczną (bezrobocie) oraz gospodarczą (inwestycje) trzy pytania, nad którymi przeprowadziliśmy na zebraniu „Koła“ dyskusję.

Wstęp do niej, w formie zagajenia, wygło-

sił prezes „Koła“ w następujących słowach:

„Obecnym dążeniem rządu jest danie środków do życia ludziom, którzy ich nie posiadają — bezrobotnym. Jedynymi środkami, którymi w dzisiejszych czasach rząd na szerszą skalę dysponuje, to praca. Praca dla człowieka jest prawdziwym dobrodziejstwem. Człowiek nieposiadający jej „marnuje się“, staje się podatnym gruntem do rozsiewanych wszelkiego rodzaju haseł antypaństwowych i antyreligijnych. Dążności idą przede wszystkim w kierunku dania pracy bezrobotnym — robotnikom z miast, gdyż tych jest najwięcej, a położenie ich najbardizej tragiczne.

Z drugiej strony, przez zatrudnienie tych mas bezrobotnych mamy korzyści gospodarcze. Wiele mamy nieuregulowanych rzek, często bez potrzebnych mostów, wiele marnych dróg, któreby należało naprawić. Poza tym większość inwestycji wiąże się ściśle ze zwiększeniem obronności państwa.

Pierwsze pytanie dyskusyjne wygłoszone w związku z powyższym, brzmiało: „Czy zadaniem robót publicznych jest łagodzenie bezrobocia, czy podniesienie gospodarcze kraju?“ Nad pytaniem tym wywiązała się bardzo obszerna dyskusja. Prawie wszyscy mówcy zdążali do wykazania tego, że kwestia gospodarcza i społeczna pozostają w tym wypadku w ścisłym związku z sobą. Oba te zagadnienia stanowią jedną całość i wypływają z siebie. Jednakże bardziej „piekącą“ kwestią jest podniesienie gospodarcze kraju, bo prawdziwą wartością i siłą narodu jest jego potęga gospodarcza. Syntezą dyskusji byłoby więc zdanie, że celem głównym rządu jest załatwienie kwestii gospodarczej, środkami zaś prowadzącymi do zrealizowania jego — zatrudnienie bezrobotnych.

Drugie pytanie brzmiało: „Czy zadanie robót publicznych i ich miejsca dostosować należy do potrzeb bezrobotnych, czy państwa?“

Do dyskusji zapisali się prawie wszyscy obecni. Dowodzono, że należy obie te rzeczy pogodzić, wedle możności najlepiej, a wtedy skutki będą najbardziej korzystne. Zadanie robót publicznych i ich miejsca należy dostosować, w miarę możności, do potrzeb bezrobotnych i państwa. Niektórzy koledzy uważali, że baczniejszą uwagę zwracać należy raczej na potrzeby państwa, które są czynnikiem ważniejszym. Odpowiedzią ogólną na pytanie byłoby zdanie, że bezrobotnych, mających wykonywać czynności, związane z inwestycjami państwa, należy skierowywać raczej tam, gdzie są potrzebni, chociażby to było sprzeczne z ich osobistymi potrzebami.

Następnie odbyła się dyskusja nad trzecim pytaniem: „Czy roboty publiczne mogą spełnić swe zadanie społeczne i gospodarcze w oderwaniu od całokształtu gospodarki państwa?“

W odpowiedzi na to pytanie padło szereg zdań analogicznych, że roboty publiczne pozostają w ścisłym związku z całokształtem gospodarki państwa.

Musi być jakaś władza naczelna, ogólnopaństwowa, któraby skierowywała bezrobotnych z jednych ośrodków do ośrodków drugich, gdzie są bardziej potrzebni, do wykonywania prac. Władza naczelna, któraby sporządzała plany i uzgodniała warunki robót, prowadzonych na szerszą skalę i finansowała je. Roboty więc publiczne, jako kwestia samoistna, istnieć nie mogą, jako czynniki spełniające swe zadanie społeczne i gospodarcze należycie.

Syntetyzując całokształt dyskusji, widzimy, iż kwestia inwestycyj, chociaż pozostająca praktycznie w ścisłym związku z zagadnieniem łagodzenia bezrobocia, jest jednak teoretycznie dużo od niej ważniejszą. Załatwienie tej sprawy jest jednak również załatwieniem sprawy bezrobocia. Przeprowadzimy inwestycje tylko przez zatrudnienie bezrobotnych. Dochodzimy więc do wniosku, że głównym celem to dobro, interes państwa — osiągniemy go przez dobro obywateli.

R. J.
„Koło Pracy Społecznej dla Państwa“
przy G. P. H. S.

DWIE SZARADY.

Pierwsze — pierwsze — dziada żona,
Drugie — zwierz z odwagi znany.
Trzecie — pierwsze — odwalona
Pługiem ziemia przez oracza.
Całość — „mąż“, którego plany
W naszym piśmie wiele znaczą.

*

Pierwsze — pierwsze — takim mianem
Często dziecko określamy.
Drugie — trzecie — ta potrawa
Mięsożerstwu kładzie tamy.
Całość — ludzka, mądra zjawa
W uczniów życiu zakłamanym.

W., G. P. H. S.

Kurator: *M. Bojarska.* Redaktor: *J. Kapuściński.*

Druk F. D. Wilkoszewskiego w Częstochowie.

Ponawiamy

K O N K U R S

na okładkę „Swiata Szkolnego"

z nagrodami za najlepszy projekt

i przedłużamy do dn. 25 lutego 1937 r.

KONKURS LITERACKI

na nowelę o temacie dowolnym.

Najlepsza nowela zostanie nagrodzona (wielkość nie może przekraczać 300 wierszy druku), nagrodą w kwocie 10 zł.

Zebranie delegatów „Swiata Szkolnego"
odbędzie się 11 lutego o godz. 5 p. p.

Termin nadsyłania prac do następnego numeru „Swiata Szkolnego" ubiega z dniem 25-go lutego b. r.

Druk. F. D. Wilkoszewskiego w Częstochowie.